Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 107 (Rok VII, Nr 2) Luty, 1947 Cena (Price) 2/-

NA ROZDROŻU

NIGDY bodaj jeszcze prasa krajów anglosaskich nie pisała tyle o potrzebie odrodzenia Europy i jej starej cywilizacji, tak bardzo dziś podminowanej i zagrożonej. *Let the European civilisation regain its soul*—oto motyw, spotykany nie tylko w artykułach, ale i w wypowiedziach wielu wybitnych mężów stanu i polityków. A przecież — jeśli wolno użyć hamletowego określenia — są to w większości wypadków słowa, słowa, słowa. Praktyka polityczna jak dotąd nie tylko nie przyoblekа ich w kształty realne, ale w wielkiej mierze stoi w sprzeczności z ich treścią i płynącymi z niej wskazaniami.

Jakież są bowiem zasadnicze warunki odrodzenia tego, co nazywane jest cywilizacją europejską,— a co słuszniej określić by należało jako cywilizację chrześcijańską, skojarzoną z greckimi tradycjami kultu piękna i wolności myśli ludzkiej, oraz starorzymską koncepcją ładu prawnego i swobód obywatelskich w obrębie silnej organizacji państwowej?

•

Jeśli chcemy odrodzić Europę, jako kolebkę tej cywilizacji, to przede wszystkim musimy traktować ją jako całość. Koncepcja "europejska," u której podstawy leży utrwalenie podziału kontynentu na dwie hermetycznie od siebie oddzielone części, poddane kształtowaniu i "urabianiu" w różnych zupełnie kierunkach, skazana jest z góry na pełne niepowodzenie z szeregu względów. Najpierw dlatego, że poza t.zw. żelazną kurtyną znalazł się szereg narodów, z Polską na czele, których żywotność i — jakże dziś często wyszydzany — idealizm stanowią dla prawdziwej odbudowy Europy czynnik niezbędny i niezastąpiony — zwłaszcza w obecnym stanie biologicznego osłabienia i duchowego wystudzenia Zachodu. Następnie dlatego, że zaparcie się tych narodów w ich zmaganiach z grożącą im zagładą cywilizacyjną byłoby zdradą, która pozbawiłaby całe dzieło odrodzenia głównych podstaw moralnych. Wreszcie zacieśnienie obszaru cywilizacji europejskiej do linii Łaby czy Odry dałoby z miejsca przewagę Niemcom — narodowi, który dwukrotnie już w ciągu bieżącego stulecia zbuntował się przeciw podstawowym wartościom zachodniego chrześcijaństwa.

Bez właściwego potraktowania problemu Niemiec zagadnienia europejskiego nie da się w ogóle rozwiązać. I tu stoją przed mocarstwami Zachodu dwie drogi: albo traktować Niemcy tylko jako narzędzie w grze politycznej wobec Rosji, licytując się z nią w podsycaniu nacjonalizmu teutońskiego najgorszego typu, albo też dążyć do stopniowego wprowadzenia Niemiec do rodziny narodów europejskich przez mądrą, stanowczą politykę i popieranie tych żywiołów niemieckich, które wierne jeszcze pozostały chrześcijańskiemu poglądowi na świat.

By jednak żywioły te w Niemczech zmobilizować, uaktywnić, dać im możność ideowej ekspansji, trzeba najpierw samemu przestrzegać i bronić tych wartości duchowych, które stanowią rdzeń naszej cywilizacji. Tymczasem to, co się dzieje od zakończenia wojny, działać musi we wręcz odwrotnym kierunku: w kierunku wydobywania na wierzch społeczeństwa niemieckiego elementów cynicznych i pełnych pogardy dla Zachodu, elementów, których jedynym dążeniem jest skorzystanie z toczącej się licytacji zwycięskich mocarstw dla odbudowy materialnej wyłącznie i militarnej siły Niemiec. W oczach wielu Niemców hitleryzm jako doktryna i jako polityka uzyskuje coś w rodzaju pośmiertnej rehabilitacji i potwierdzenia.

Nie brak w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych czynników, które zdają sobie dobrze sprawę z tego wszystkiego. Równocześnie jednak mnożą się właśnie w miejscach najwyższych i najbardziej odpowiedzialnych objawy wysoce niepokojące. Jednym z nich jest brak jakiejkolwiek silniejszej reakcji ze strony gwarantów układu jałtańskiego na krwawą maskaradę "wyborczą" w Polsce. Równie niepokojące są różne oświadczenia na temat przyszłości Europy, wśród których na plan pierwszy wybiło się niedawne przemówienie jednego z przywódców amerykańskiej Partii Republikańskiej Dullesa. Stwierdził on, że w obecnych warunkach koncepcja europejska objąć może tylko około 200 milionów mieszkańców Europy zachodniej i północnej i wypowiedział się za daleko idącą odbudową gospodarczą Niemiec. Także zwrot Churchilla o *Slavonic attachments* Rosji, użyty w jednym z jego artykułów, jakie ukazały się w ostatnich dniach grudnia ubiegłego roku, budzić musi refleksje wybitnie pesymistyczne. Oświadczeniom tym towarzyszy w dodatku nowa kampania różnych arcyusłużnych dziennikarzy i publicystów, tłumacząca opinii krajów anglosaskich, że kraje Europy środkowo-wschodniej nie dorosły do ustrojów typu zachodnio-europejskiego, że są beznadziejnie "reakcyjne" i zacofane — z zawartą w tym *implicite* sugestią, iż najlepszą formą rządów dla tej części Europy są "dobroczynne dyktatury" à la Bierut czy Tito. Owa kampania oczerniania społeczeństw środkowo-europejskich, której wyrazem są nietylko artykuły prasowe, ale i pojawiające się raz po raz niesumienne książki, pisane przez rzekomych "fachowców" przedmiotu, — stanowi jeden z najsmutniejszych dokumentów chwili obecnej.

Nie wierzymy, by tą drogą cywilizacja europejska odzyskać mogła swą duszę. Nie wierzymy także w "ewolucyjne," stopniowe załatwianie sprawy, zaczynające się od zacierania jej konturów głównych, zasadniczych i nie dających się niczym zastąpić. Jedynie bezkompromisowe, mocne stanięcie na gruncie wolności wszystkich historycznych narodów Europy, jedynie szacunek dla głoszonych zasad i stosowanie ich we wszelkich konkretnych wypadkach przywrócić może światu naszej cywilizacji kręgosłup moralny i wyprowadzić go z obecnego trzęsawiska. Co więcej, tylko takie stanowisko, zdolne stworzyć atmosferę wysokiego ciśnienia moralnego i ideowego, połączone z działaniami natury politycznej, daje światu szanse uniknięcia nowej straszliwej katastrofy wojennej.

A. PLUTYŃSKI

WSPOMNIENIA O PANU ROMANIE

DAR odtwarzania postaci ze wspomnień młodości zanika w naszych zmotoryzowanych czasach. Z uczuciem więc niepewności, czy podołam zadaniu, zanurzam się we wspomnienia, aby jak najwięcej wydobyć rysów istotnych postaci Pana Romana, która tak mocno zaważyła na losach narodu.

A więc najprzód tło. Romana Dmowskiego spotkałem po raz pierwszy w listopadzie 1899 roku, naturalnie w domu państwa Balickich w Krakowie. Był to dom jedyny w całej Polsce — miejsce spotkań Polaków różnych partii i odcieni politycznych ze wszystkich stron świata. Kto tylko ważny wyjeżdżał z Rosji na zachód dostawał od znajomych wskazówkę: "Jeżeli Pan będzie w Krakowie, niech Pan nie zapomni wstąpić do państwa Balickich. Dowie się Pan tam o wszystkich i o wszystkim, co Pana może interesować".

Przyjmowany był zawsze z pełna sympatią i z pełnym zrozumieniem sytuacji: "Jak dobrze, że polecono Panu nas odwiedzić. Chce Pan zobaczyć Miłkowskiego i Limanowskiego w Rapperswilu — damy Panu adresy. Wybiera się Pan do Paryża—możemy powiedzieć, kogo Pan tam teraz zastanie". Potem rozmowa schodziła na tory krajowe. Dzielono się informacjami o wypadkach za kordonem. Zazwyczaj gość pozostawiał garść cennych wiadomości, które przesyłano do Lwowa Popławskiemu dla zużytkowania w *Przeglądzie Wszechpolskim* lub w *Polaku*. Czasami ktoś, co stale prenumerował *Kraj* petersburski i którego nikt by o jakiś nadmiar śmiałości nie posądzał, wręczał rumieniąc się parę banknotów rosyjskich z przeznaczeniem na walkę z caratem czy na oświatę ludową, lub prosił o dostarczenie ostatnich publikacji N.D. i P.P.S.-u. Z reguły ujęty niezwykłym czarem gospodarstwa, stale już przed i po podróży odwiedzał Dębniki.

Dla nas młodych "zetowców" pan i pani Balicka byli kolegami: "starszym bratem" i "starszą siostrą". Później otwarto kwaterę transportową na Wolskiej, ale podówczas zdarzało się jeszcze nawet ubierać w "ornaty z bibułą" u Balickich w pośpiechu, aby zdążyć na pociąg o 6-ej wieczorem, słuchając ostatnich zleceń do "Carnota" (mecenas Kamiński, komisarz Ligi na Królestwo), albo do dra Malewskiego, prezesa "Bratniaka" z poprzedniego roku i głównego motoru pracy warszawskich "zetowców".

W listopadzie 1899 sytuacja wśród młodzieży była niesłychanie napięta. Z Petersburga nadeszła do warszawskiego "Bratniaka" odezwa zaczynająca się od słów: "Pa wszie krańcy Swiatojej Rassii", wzywająca polską młodzież do solidarnego strejku, w proteście przeciw aresztowaniom na uniwersytecie petersburskim w czasie studenckich zaburzeń. W powszechnym głosowaniu tak na uniwersytecie warszawskim jak i na politechnice większość kierowana przez "Zet" oświadczyła się przeciw strejkowi. Część studentów należąca do P.P.S. i innych odcieni wystąpiła z "Bratniaków" zakładając "Spójnię" na uniwersytecie, a "Zjednoczenie" na politechnice.

Tak więc stosunek do rewolucyjnych prądów Rosji i ich wpływy w naszym gronie groziły powszechnym rozłamem wśród młodego pokolenia. Wtedy to, jadąc do Warszawy z bibułą, spotkałem po raz pierwszy Romana Dmowskiego. Siedział wgłębiony w fotel. Pierwsze wrażenie wzrokowe określić mogę tylko słowami: "wybitna głowa osadzona na mocnej szyi i silnych barach". Na tle podnieconej rozmowy o ostatnich wypadkach uderzała jego małomówność. Skończył rozmowę jakimś krótkim ujęciem: "Nie pozwolimy, aby młodzież polska walczyła o cudze interesy" — pożegnał się i wyszedł. Długo pamiętałem nacisk położony na to ostatnie słowo "interesy". Tak tego nikt dotąd w Polsce nie nazywał i tak nazwy nie podkreślał.

Dłużej rozmawiałem z Panem Romanem dopiero w styczniu po zjeździe rozłamowym w Zurychu, gdzie reprezentowałem młodzież Lwowa jako delegat "Czytelni Akademickiej".

Zjazd "*Zjednoczenia Studentów Polskich za granicą*", które dotychczas było główną podstawą wpływów socjalizmu polskiego, znaczną większością głosów poparł stanowisko "Bratniaków" warszawskich. Zwycięstwo to odnieśliśmy głównie dzięki dobremu zorganizowaniu młodzieży z Poznańskiego wokoło akademickiego pisma *Teka*, redagowanego naprzód przez Adama Skałkowskiego, następnie przeze mnie, a później przez Stanisława Strońskiego we Lwowie.

Rozłam ideowy, który rozpoczęli Popławski, Dmowski i towarzysze w "*Lidze Polskiej*", został dokonany na szerokim tle organizacji młodzieży. Wiadomo już było, że przyszłe społeczeństwo ludzi czynnych, idących ku niepodległości kraju, zdobywać ją będzie we współzawodnictwie dwóch głównych obozów: narodowego i socjalistycznego.

Wtedy już zauważyłem, jak odniesione zwycięstwo mało poruszało Pana Romana osobiście. Wszystkie sprawy traktował na zimno jako "dobrą lub złą robotę". Był typowym szefem sztabu. Zastanawiałem się później jeszcze dlaczego, na ogół, w tym początkowym okresie Narodowej Demokracji od roku 1898 do 1905, ta "robota" była tak dobrze prowadzona i tak niesłychane dała wyniki?

Proszę sobie bowiem wyobrazić kilku ludzi pod duchową wodzą Bogusza Potockiego, znanych tylko garstce zakonspirowanej młodzieży i żandarmerii rosyjskiej, która ich śledziła, rozpoczynających w Warszawie walkę z rozpanoszonymi w kraju, po upadku powstania, pozytywistami i ugodowcami, w małym tygodniku warszawskim. Garstka ta po oddaniu pisma w cudze ręce, uchodzić musi do Galicji i tu nabywa we Lwowie miesięcznik *Przegląd Emigracyjny*. Zmienia jego nazwę na *Przegląd Wszechpolski* i ogłasza swój pierwszy program "Narodowej Demokracji". Po ośmiu zaledwo latach grupka ta prowadzi stronnictwo, które zdobywa większość mandatów we wszystkich trzech reprezentacjach poselskich: w Wiedniu, Berlinie i Petersburgu!

Jak znakomite, jak dostosowane do środowiska polskiego musiały być: program polityczny i taktyka, zasady organizacji i jej kierownictwo!

Formalnie ster organizacji spoczywał w ręku pięciu członków Komitetu Centralnego. Nad Komitetem jako jedyny jawny członek Ligi Narodowej stał pułkownik Miłkowski (T.T. Jeż), nawiązując tradycję Ligi do Rządu Narodowego z 1863 roku, podobnie jak "zetowcy" nawiązać ją usiłowali do "Filaretów" i "Filomatów" z czasów Zana i Mickiewicza. Rzeczywiste kierownictwo spoczywało jednak w rękach trzech mężów: Popławskiego, Dmowskiego i Balickiego. Ten trzeci, organizator młodzieży, człowiek o ascetycznej wprost skromności, podporządkowywał się stale dwóm pierwszym.

Otóż tajemnicą wydajności pracy Ligi było to właśnie, że znalazło się wtedy w Polsce aż trzech ludzi, tak wybitnych, a tak różnych, którzy umieli podzielić pracę organizacyjne i programowe, tworząc łącznie pierwszorzędny zespół kierowniczy, Nie jeden "wódz", ale "zespół" osiągnął w społeczeństwie polskim wyjątkowo świetne wyniki.

Sprawa zrozumienia planowego działania zespołu trzech wielkich organizatorów Narodowej Demokracji jest szczególnie ważna. Kto jej nie przestudiował, ten nie zrozumie historii owych wielkich przemian u nas w końcu XIX wieku i, co ważniejsza, nie będzie umiał z doświadczeń poprzedników wyciągnąć konkretnych wskazań na przyszłość.

Rola Zygmunta Balickiego i jego małżonki, bo tego nie sposób dzielić, polegała wówczas na organizowaniu młodych. W Krakowie studiowało wielu królewiaków. Przez Kraków przejeżdżali prawie wszyscy studenci uczący się za granicą, a tych zwłaszcza na technikach były setki wyjątkowo uzdolnionych. Właśnie dlatego, że młodzież królewiacka stworzyła w Krakowie swój własny świat, wpływ ich na Małopolan był początkowo niewielki.

Natomiast we Lwowie, gdzie w około Jana Popławskiego grupowało się tylko małe kółko ludzi z zaboru rosyjskiego, już w roku 1896 ówczesny reprezentant młodzieży Zdzisław Próchnicki, prezes *Czytelni Akademickiej*, oświadczył, że politycznie stoi najbliżej świeżo ogłoszonego programu Narodowej Demokracji. Praktycznie atoli, z wyjątkiem grupy socjalistycznej, młodzież lwowska popierała (np. przy wyborach) ludowców, kierowanych przez Bolesława Wysłoucha spod Lidy, redaktora *Kuriera Lwowskiego*.

Dopiero kilka odczytów Jana Popławskiego w *Czytelni*, oraz przyjazd Rudowskiego, członka Centralizacji "Zetu" z Berlina i założenie przez niego grupy lwowskiej tej organizacji, na jesieni 1899 r. zdecydowało postawę młodzieży Lwowa. Dwaj założyciele *Teki*, która miała wielu czytelników wśród młodzieży gimnazjalnej w Poznańskim, wstąpili również do "Zetu". Odtąd to pismo przewożone bywało tajnie do Królestwa obok *Przeglądu Wszechpolskiego* i *Polaka*, redagowanych i przeważnie wprost pisanych przez Popławskiego.

Utarł się zwyczaj, że każdy z "zetowców" lub kandydatów do "Zetu" winien był przemycić chociażby jeden taki transport. W ten sposób kontakt młodzieży małopolskiej z Warszawą stał się tak żywy i bezpośredni, jak może nigdy do tych czasów. Wśród młodych stworzyło się fanatyczne przywiązanie do ludzi organizacji, która dała im możność wzbogacenia przeżyć osobistych oraz ogólnopolskich horyzontów myślenia i czynu.

Tak tworzył się kapitał entuzjazmu dla nowego ruchu.

★

Równocześnie i równolegle z akcją narodowców prowadzona była akcja podobna Polskiej Partii Socjalistycznej. W tym samym miesiącu co *Teka* powstaje *Promień*, założony przez socjalistę Wł. Wolskiego. My przewozimy *Przegląd* — oni *Przedświt* londyński, ale my przewozimy także *Polaka*, odezwy przeciw szkółkom cerkiewnym, książki do nabożeństwa dla opornych unitów it.p. Ich kontakt z kilku tysiącami polskich robociarzy był drobnostką w porównaniu do naszych kontaktów z masami włościańskimi w Królest-

wie. Wiedzieliśmy, że ten *Polak* pisany krwią spod serca "Pana Jana" dotrze do każdej gminy, do każdego zakątka kraju. Wiedzieliśmy, że z każdym jego numerem rosną koła tajnej organizacji najświatlejszej warstwy chłopskiej. To dawało nam poczucie siły, ale też i poczucie odpowiedzialności. Musimy tak zawsze prowadzić rzecz, aby te masy pozostały z nami, abyśmy stworzyli z nimi jedną nierozerwalną całość.

Jan Popławski, potomek ziemiańskiej rodziny lubelskiej, nie był "reprezentacyjny". Artykuły jego dla inteligencji pisane drobnym i okrągłym pismem czytało się jak szereg równań matematycznych. Były raczej szare. Nic ze śmiałych sformułowań, werwy i obrazu, w czym celował Pan Roman i co porywało czytelników w jego pismach.

Popławski znał Polskę jak długa i szeroka tak gruntownie, jak napewno nikt inny przed nim i po nim.

Pamiętam jeden zjazd Ligi, na którym delegat z Poznańskiego referował, w jakich okręgach mogą Polacy liczyć na zwycięstwo przy nadchodzących wyborach. Pan Jan targał raz po raz zawsze zmierzwioną czuprynę, wycierał okulary lub nerwowo wyciągał z brody popiół fajki i okruchy bułeczki. Po skończonym referacie zerwał się z miejsca i poprosił o głos: "Głupstwa Pan gadasz" rypnął i zaczął z pamięci sypać cyframi ze statystyki językowej, skorygowanej według wyników statystyki szkolnej i statystyki ostatnich wyborów, niszcząc cyframi nadzieję zwycięstwa w dwóch okręgach wyborczych. Kilkudziesięciu obecnych z zapartym oddechem słuchało tych wywodów. Ten człowiek znał powiaty Polski lepiej niż ci, co się w nich urodzili i w nich wyrośli. On je wszystkie nosił w swym sercu, ale pisał naprawdę tylko serdecznie do włościan; w *Polaku* mówił im to, co inni wielcy z Lubelskiego mówili ongiś do gminu szlacheckiego, że muszą dorównać i przewyższyć innych w pełnieniu największego zaszczytu: służby dla Rzeczypospolitej. Oni słuchali i uwierzyli, że nie gorzej lecz lepiej od innych kochają Polskę.

W czasie pierwszej wojny światowej, redagując pismo dla włościan w Lublinie, spotykałem wielu dawnych czytelników *Polaka*. Poznać ich można było od razu po paru zdaniach, po tonie dumy i poczuciu siły, po trosce i odpowiedzialności za Polskę.

★

Pan Roman z góry przeznaczony był na politycznego przedstawiciela wzbierającego siłą ruchu narodowego Polski. Tysiące ludzi orało, ale on miał zbiorem dysponować, gdy czas potrzeby nadejdzie. Był z trójki najmłodszy i miał wszystkie dane. Piękną postawę, dobrą wymowę i świetne pióro. Większą, niż inni starzy "ligowcy," znajomość zagranicy i dar zimnej bezwzględności graniczącej z brutalnością, czym później tak się przysłużył Polsce, grożąc premierowi angielskiemu nową wojną o Śląsk.

Wpływy stronnictwa były zrazu tak zakonspirowane, że "minister spraw wewnętrznych ruchu" zrazu nie wiele miał czynności. Jedynie P.P.S. już wiedziała po sąsiedzku, jaką siłą dysponuje N.D. W stosunkach z socjalistami jednak ambasadorem naszym był zazwyczaj Surzycki. Później zaniepokoili się postępami "przygotowań do nowego powstania" Spasowicz i Piltz w Petersburgu i polecili jednemu z najzdolniejszych publicystów polskich (pseudo: Scriptor) wierne opisanie ruchu. Tak powstały dwie książki, nieoceniona współczesna kronika rozwoju Narodowej Demokracji.

Dopiero zakupienie przez Rawitę-Gawrońskiego dziennika *Wiek XX* i oddanie go Popławskiemu, który redagował go przy udziale J. Hłaski, moim i Sadzewicza, zaniepokoiło ówczesnych gospodarzy kraju: konserwatystów z *Czasu*. Zaczęła się polemika i słynna odpowiedź Dmowskiego: "Nam się nie śpieszy!"

Dmowski nie chciał być poniesiony wzbierającym ruchem do przedwczesnej akcji politycznej. Nie chciał być kierowany wypadkami. Chciał kierować. Zwłaszcza przeciwny był udziałowi N.D. w polityce galicyjskiej. Kiedy z listem Popławskiego, polecającym sprawę dzierżawy *Słowa Polskiego* Carnotowi, jechałem do Warszawy i przedstawiałem Dmowskiemu, że wpływ na *Słowo Polskie* jest w granicach naszych możliwości, Dmowski wprost mnie ofukał: "Oszalałeś Pan ? ! Chcesz nas Pan utopić w bagnie polityki galicyjskiej ? " Jedyny raz postąpiłem nielojalnie i o sprzeciwie Dmowskiego nie wspomniałem w Warszawie, gdzie sprawy finansowe załatwiono i *Słowo* wydzierżawiono.

Z objęciem *Słowa Przegląd Wszechpolski* przeniesiony został do Krakowa, a Pan Roman objął jego redakcję. Troską Pana Romana była sprawa ujęcia ruchu w dyscyplinę doktryny. Nie wierzył on, aby jakakolwiek tajna organizacja bez doktryny uchronić mogła ruch polityczny od rozłamów i rozstroju.

Nie brakowało już nawet lekkich odszczepieństw. Oto członek Ligi Lutosławski na własną rękę tworzył ruch etyczny "Elsów" w Krakowie. "Zetowcy" lwowscy studiowali u Askenazego i tworzyli nową szkołę historyczną, operującą pojęciem "polskiej racji stanu". Wydania dzieł Szczepanowskiego, który był narodowcem, ale również liberałem ekonomicznym, wchodziły w program wychowawczy "Zetu". Wejście na tory polityki realnej musiało z natury rzeczy prowokować różnice opinii, jeżli nie w sprawie zasad, to taktyki.

Popławski był empirystą i tradycjonalistą. *Przegląd* redagował jak kronikę najważniejszych wydarzeń, dawał ich objaśnienie, wskazywał na najwłaściwszy sposób reagowania na nie. Dmowski dążył do filozoficznego pogłębienia problemu, do stworzenia doktryny narodowej. Socjaliści mieli swoją doktrynę Marksa. Stańczycy swoją szkołę historyczną Kalinki, Szujskiego i Bobrzyńskiego. Liberałowie polscy mogli nawiązywać do liberalnych stronnictw innych krajów. Nawet ludowcy klasowi mogli stworzyć jakąś zieloną międzynarodówkę. Należało ostatecznie rozstrzygnąć, czy narodowcy polscy mogą stworzyć doktrynę zapewniającą im spoistość wewnętrzną i możliwość porozumienia z podobnymi kreacjami innych narodów, czy też ograniczyć się muszą do nowej szkoły historycznej, do nowego pojęcia sensu i charakteru dziejowego pochodu i dziejowych przeznaczeń narodu.

Rozstrzygnięcie miał dać *Przegląd Wszechpolski* pod redakcją Pana Romana. W nim to ukazywały się kolejno artykuły, z których powstały wydania książkowe *Myśli nowoczesnego Polaka*, Balickiego *Etyka narodowa*, a nadto między innymi kapitalne studia Grużewskiego o Rosji, dowodzące, że społeczeństwo rosyjskie, od wieków od udziału w rządach odsuwane i atomizowane zakazem stowarzyszeń oraz brakiem samorządu, może być rządzone tylko absolutnie i że wszelkie próby stworzenia parlamentarnego ustroju w tym państwie muszą zawieść.

Stworzenie doktryny nacjonalizmu do użytku więcej niż jednego narodu zdaje się mieścić w sobie sprzeczność w założeniu. W praktyce znalazły kierunki nacjonalistyczne międzynarodowy wyraz w uznaniu zasad "samostanowienia i suwerenności narodów". Na najważniejszych aktach w tym kierunku umieścił Roman Dmowski swój podpis jako delegat Polski.

Jako redaktor posiadał Dmowski rzadki dar organizowania myśli współpracowników. Brał niechętnie udział w dyskusjach publicznych, ale lubował się w omawianiu i precyzowaniu myśli w rozmowach z współpracownikami. Czytając roczniki *Przeglądu* z jego czasów odczuwa się w pracach innych autorów, że oto ten pogląd, to niespodzianie śmiałe sformułowanie, pochodzi pierwotnie od redaktora, albo rozmową z nim zostało sprowokowane.

★

Tak więc zaczęło się od podróży do Parany, od rozprawy o *Wychodźstwie i osadnictwie* i planów "Nowej Polski" w Paranie, a dochodziło się do rządzenia starą Polską i decydowania o jej losie.

Nie zapomnę nigdy rannej wizyty Pana Romana i dwóch najstarszych budowniczych "Nowej Polski", Warchałowskiego i ks. Wyszyńskiego, w *Wieku XX* we Lwowie. Warchałowski opowiadał, jak to na Ukrainie likwidował swoje majętności i szukał udziałowców do budowania osad, do których by już żaden Moskal, Prusak, czy Austriak nigdy nie dotarł. Dmowski radował się wspomnieniem, jak go w drodze konnej do Kurytyby jakiś Murzyn przywitał po polsku: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", a ks. Wyszyński opowiadał jak to mu raz kowala-Herkulesa, który dotknięty na honorze wyzwiskiem "Porco polacco" rypnął w łeb i zabił na miejscu jakiegoś Włocha, uwięziono i jak on go potem udając parlamentariusza zmobilizowanej kawalerii polskiej z więzienia wyciągnął i sprawę kościelną pokutą załatwił.

A tu wypadki biegły coraz szybciej. Prześladowania pruskie kółek *Teki*, a potem dzieci wrzesińskich poruszyły opinię Polski i świata. Dla sprawiedliwej równowagi zadekretowaliśmy w Centralizacji "Zetu" walkę o naukę religii po polsku w Białej Siedleckiej etc. Zaatakowani przez Ukraińców musieliśmy bronić polskości uniwersytetu lwowskiego i znowu Polacy wschodniej Małopolski poparli, — kogo? Narodowych demokratów. Ucisk w Poznańskim wzrastał. Zadekretowaliśmy dywersję na Górnym Śląsku w formie *Górnoślązaka* i wyborów do Koła Polskiego. Dywersja była konieczna, ale to wszystko szło za szybko. Przypominam sobie, jak po wybraniu Korfantego, wracając ze Śląska rozgorzały walką, zdawałem raport Dmowskiemu. Pan Roman był w ciężkiej depresji. Obawał się zbyt silnej reakcji Niemców w Poznaniu wobec rzucenia rękawicy katolickiemu "Centrum", jedynemu stronnictwu niemieckiemu, które nie było nam wyraźnie wrogie.

Po każdym zwycięstwie było to samo. To, co zdobyliśmy, przestawało go interesować. Myślał tylko jak parować kontratak. A tu ruch stworzony przez małą grupkę rósł z dniem każdym. W tym zaborze austriackim, od którego polityki Pan Roman chciał stronnictwo trzymać z daleka, aby nie straciło ono z oczu głównego rozwiązania sprawy polskiej, jakie mogło i musiało nastąpić w największym zaborze: rosyjskim, parło się już nie do objęcia jakiegoś pisma, ale do większości w Kole Polskim. Władysław Studnicki pisze rozprawkę *Wyodrębnienie Galicji*, a stronnictwo przyjmuje ideę do swego programu. Mówi się już o Piemoncie i honwedach polskich. Nasza agitacja na Górnym Śląsku ogarnia Opole. Przy drugich "polskich" wyborach ks. Jankowski uzyskuje 55 procent głosów w tym okręgu.

Obudzone solidną robotą wielkiej trójki narodowców siły — prężą się. Liga staje się bodaj najpotężniejszą organizacją w dziejach Polski od czasów "panów krakowskich" za

PATRZYMY W STRONĘ KRAJU

Rozmowa z adwokatem Zbigniewem Stypułkowskim

KORZYSTAJĄC z przyjazdu Pana na teren W. Brytanii chcielibyśmy zapoznać naszych czytelników z poglądem Pana na sytuację w kraju.

— Trudno przedstawić mi sytuację bieżącą, ponieważ opuściłem Kraj dobrych parę miesięcy temu.

— Nie chodzi nam o ostatnie wiadomości. Chcielibyśmy właśnie mieć raczej ogólną charakterystykę stanu, w jakim naród nasz znalazł się po przejściu okupacji niemieckiej i dostaniu się w nową fazę uzależnienia, tym razem ze strony sowieckiej.

— Kraj przedstawia obraz tragiczny. Wyniszczenie aktywu ludzkiego, czyli t.zw. warstwy przewodniej, było celem zasadniczym pięcioletniej okupacji niemieckiej; do tego samego celu dąży polityka nowego ciemiężcy. Straty inteligencji polskiej sięgają w niektórych sferach 80%... Stan ten najlepiej zilustrują cyfry odnoszące się do mego własnego zawodu. Przed wojną w okręgu warszawskim praktykowało około 1500 adwokatów; wyjeżdżając zostawiłem ich zaledwie 360 wraz z aplikantami. W dodatku jest to element, składający się z bardzo starych lub też bardzo młodych ludzi.

Ci ostatni są niedouczeni i niedoświadczeni i w pewnym stopniu znajdują się na swych stanowiskach dzięki poparciu obecnego reżimu. Tak samo zmalała liczba księży, lekarzy, nauczycieli. Trochę lepsza sytuacja panuje wśród techników.

Wyniszczanie aktywu ludzkiego dotyczy nie tylko warstwy oświeconej, objęło ono również świadome narodowo i kierownicze jednostki z innych warstw. Będąc w niewoli bolszewickiej w 1939 r. miałem możność przekonać się, że gdziekolwiek powstawało ognisko odporne psychicznie na warunki rozkładowe obozów, tworzyło się ono wokół ludzi, którzy przeszli szkołę narodową. Nie było to rzeczą przypadku; świadomy element narodowy natychmiast przechodził do pozytywnej akcji w każdych okolicznościach. Pamiętam, że gdy z początkiem 1940 r. zostałem wydany przez bolszewików w ręce niemieckie i znalazłem się wraz z kilku tysiącami żołnierzy w obozie przejściowym pod Terespolem, chłopi miejscowi, należący do Stronnictwa Narodowego, bezzwłocznie rozpoczęli akcję pomocy. Wozy z produktami żywnościowymi, a na nich moi przyjaciele z odległych często wsi zjechali do obozów w pierwszym już dniu mego tam pobytu. Był to naprawdę żywy przykład solidarności narodowej. Takim właśnie elementom grozi zagłada.

— Czy tylko likwidacja warstwy kierowniczej powodowała rozkładanie naturalnej spoistości społeczeństwa?

— Oczywiście nie. Nieustanna wędrówka, która objęła olbrzymie rzesze ludności, przyczyniła się w znacznej mierze do rozluźnienia więzów domu i rodziny. Miliony ludzi przesuwały się z miejsca na miejsce, począwszy od września 1939 r.: wyrzucenie 4 milionów Polaków z ziem zachodnich do centralnych, zsyłka do Rosji i Niemiec, przymusowa ewakuacja całej ludności Warszawy po powstaniu, przerzucanie ludności polskiej z ziem wschodnich na nowo przyłączone na zachodzie, ucieczki osadników stamtąd na skutek niemożliwych warunków, spowodowanych zachowaniem się armii rosyjskiej. Mimo całego tragizmu nieustannych wędrówek postawa psychiczna ludności była często godna podziwu. Wielka solidarność narodowa pozwoliła uniknąć manifestowania objawów goryczy klasowej. Nie słyszało się słów "burżuj", czy "wróg ludu"; na odwrót, była skłonność do ustalania naturalnej hierarchii, do spontanicznego pomagania słabszym czy chorym. Często, gdy ktoś zaklął na ciężkie warunki, z ust robotnika czy chłopa padała ironiczna odpowiedź: "ale za to masz demokrację", potępiająca obłudny frazes sfer rządzących.

— Czy ludność pogodziła się z utratą dawnych siedzib?

— Nikt nie uważa sytuacji obecnej za ustaloną i swego domu na wschodzie za utracony. Panuje nastrój niepewności i nawet kto skłonny jest uznawać w obecnej sytuacji cechy stabilizacji, obawia się, czy wolno mu traktować ziemie nad Odrą za ostatecznie odzyskane, nikt bowiem bolszewikom nie dowierza. Problemy te zależą od polityki rosyjskiej.

— Jak się przedstawia życie gospodarcze kraju?

— Panuje zupełny chaos, bo dla taktyki politycznej zachowuje się pozory prawa własności i pewne formy ustroju kapitalistycznego. Jednocześnie wprowadza się ustrój komunistyczny. Obecny stan rzeczy nie posiada ani jednej zalety ustroju kapitalistycznego (na przykład wykorzystywanie inicjatywy prywatnej), a posiada wszystkie wady ustroju komunistycznego, bez jego konsekwencji. W tym miejscu przypominam sobie ustęp z rozmowy z sędzią śledczym, która miała miejsce podczas jednego z wielu przesłuchiwań mnie w Moskwie. Sędzia wyjaśnia łaskawie, że poprzedni cały dzień miałem wolny dzięki temu, iż odwiedzał on pokazowy kołchoz, potem tłumaczy mi, że wydajność tego kołchozu wzrosła 3 czy 4 - krotnie w stosunku do wydajności tej samej jednostki przed kolektywizacją. Mówi przez czas dłuższy o zastosowaniu nowoczesnych maszyn, skasowaniu miedz sąsiedzkich, co zwiększyło obszar uprawny, o zdobyczach nauki i t.d. Pytał mnie, co o tym myślę? Odpowiedziałem, że rozumiem jego punkt widzenia, bo obserwowałem tę samą tendencję w poczynaniach Niemców, którzy często przyłączali do istniejących majątków okoliczne, rozparcelowane już, działki ziemi, tworząc w ten sposób wielkie całości, sprowadzali maszyny i stosowali nowoczesne sposoby uprawy. Spytałem jednak, dlaczego Rosja wprowadza w Polsce rzecz odwrotną, to znaczy dzieli ziemię w ten sposób, że stwarza jednostki gospodarcze niezdolne do samodzielnego życia, mnoży miedze i uniemożliwia stosowanie maszyn. Sędzia odpowiada, że Polska to kraj demokratyczny, trzeba przecież zdobyć najpierw zaufanie chłopa i dlatego rozdaje mu się ziemię. Gdy raz przekona się do swych "dobroczyńców", to w odpowiednim czasie posłucha ich przyjacielskiej rady, aby posiadaną ziemię oddać do kołchozu.

Prawdą jest, iż Polska żyje dziś z tego, że zjada się resztki majątku narodowego, jakie jeszcze pozostały po rabunkach niemieckich i bolszewickich. Na zachodnich ziemiach Niemcy zgromadzili duże rezerwy gospodarcze (ziarno, bydło) licząc na długą obronę w swych granicach. Z ziem tych Rosja wywiozła nieprawdopodobne bogactwa. Wracając z Moskwy sam widziałem olbrzymie tabuny koni, a później i krów, pędzone na wschód przez kozaków — był to widok prawdziwie sienkiewiczowski. Mimo to dużo mienia dało się uratować zawdzięczając m.i. patriotycznej akcji kolejarzy, którzy hamowali grabież jak mogli. Także i wódka odegrała tu pewną rolę, bo bolszewicy byli zawsze gotowi odsprzedać za nią wszystko, co nagrabili. Tymi pozostałościami kraj żyje do dzisiaj, bo produkcja jaka teraz istnieje — przy rabunkowych układach handlowych z Rosją — uniemożliwia regenerację życia gospodarczego.

Tylko tam, gdzie inicjatywa prywatna potrafi się przedrzeć poprzez gąszcz ustaw i zakazów, można jeszcze coś zrobić na polu gospodarczym. Dlatego odbudowa Warszawy nie czyni prawie żadnych postępów. Pamiętam, że dla użytku ambasady sowieckiej trzeba było w określonym terminie odbudować połowę alei Szucha. Ponieważ cała biurokratyczna potęga Polski nie mogła tego dokonać, sięgnięto po pomoc drobnych, prywatnych przedsiębiorców, których przedsiębiorstwa powstawały jak grzyby po deszczu. Wykonali oni powierzone im zadanie na normalnych kapitalistycznych zasadach w określonym terminie. Przedsiębiorstwa ich jednak musiały niezadługo zniknąć z powierzchni życia, bo nie byłyby w stanie podołać ciężarom, jakie zaczęto na nie nakładać.

Podobnie jest ze sklepami. Jeżeli ktoś chce założyć sklep, to aby wybrnąć z dżungli różnych zezwalających, odnajmujących itp. urzędów, musi z góry poświęcić poważną sumę na łapówki. Źle wybrałem słowo

---

Dokończenie ze strony 3

Jadwigi. W tajnej organizacji jest, od czwartej gimnazjalnej począwszy, większość młodzieży aktywnej narodowo, około 10 tysięcy włościan, kierowników opinii chłopskiej, przeszło 2 tysiące robociarzy, większość czynnej inteligencji wolnych zawodów. Księża mają organizację osobną. Nauczyciele ludowi również.

Liga Narodowa staje się faktycznie elitą rządzącą narodem polskim, a kierownictwo tej elity ma objąć ostatecznie Pan Roman.

W tym momencie wybucha wojna rosyjsko-japońska.

Tu urywam me wspomnienia. Odczuwając głęboko brak opanowania problemu Polski od strony gospodarczej, objąłem sekretarstwo Centralnego Związku Fabrycznego Galicji, zaczynając kampanię o cukier przeworski pod kierownictwem Battaglii. Pan Roman spotkał mnie na Akademickiej i powiedział serdecznie: "Ach jakżeż się cieszę, że organizujecie kraj cały do walki o cukier. Ułatwi to nam jego organizację polityczną".

Dla mnie polityka *sensu stricto* i polityka gospodarcza stanowiły już wtedy jedną nierozerwalną całość. Poszedłem w innym kierunku, gdzie bodaj braki były największe.

Nie zawsze koncepcje późniejsze Dmowskiego odpowiadały mi, ale zawsze z dumą wspominam te początki potężnej Narodowej Demokracji, te pierwsze czasy służby pod sztandarem Polski niesionym przez trzech wielkich chorążych.

★

Oby ci, którzy czytają te wspomnienia uświadomili sobie spokojnie, że wówczas mieliśmy przeciw sobie trzy potężne i mocno ustalone mocarstwa i nikt z nas nie wątpił o ostatecznym zwycięstwie. Jakie mamy prawo wątpić w zwycięstwo obecnie, gdy zabór jeszcze nie ustalony i gdy mamy za sobą *Battle of Britain* i Monte Cassino? Czyż może ktoś twierdzić, że wówczas szanse były lepsze?

A. PLUTYŃSKI

"łapówki". Chodzi po prostu o to, że urzędnik musi uzupełniać sobie środki utrzymania — bez tego jego egzystencja nie byłaby możliwa. Nie znaczy to zresztą, aby różni złodzieje i łobuzy nie próbowali wykorzystać i swojej szansy życiowej w ogólnym chaosie. Człowiek, który chce założyć sklep w Warszawie, zasługuje na miano pioniera. Załatwiwszy sprawę z urzędami musi on usunąć gruz i wznieść choćby prymitywne poddasze. Potem trzeba zlikwidować okoliczne ruiny, które mogą grozić zawaleniem. Przy ulicy Marszałkowskiej kosztuje to razem około 800,000 złotych. Następnie musi kupić trochę towaru, który jeżeli jest choć trochę cenny trzeba zabierać ze sobą co wieczór do domu. Licencję na sklep otrzymuje się zwykle na jeden rok, a w najlepszym razie na trzy. Kupiec więc musi tak kalkulować, aby w ciągu tego czasu zyski jego pokryły wkład miliona złotych, który włożył w przedsiębiorstwo, i umożliwiły mu choćby najskromniejszą egzystencję. Trzeba do tego dodać stałe opłacanie się różnym władzom i podatki. Mimo to takich pionierów jest dużo i ulica Marszałkowska, gdy patrzy się na nią o zmierzchu i nie podnosi wzroku powyżej parteru, wygląda wspanialej niż przed wojną, a napewno żywiej niż przeciętna ulica Londynu. Przypomina mi to okres samoorganizowania życia gospodarczego pod okupacją niemiecką, kiedy za sprzedaż masła czy chleba poza kartkami groziła śmierć. Jednak nawet kiedy Warszawa otoczona była kordonami żandarmerii niemieckiej wychwytującej handlarzy, to żony robotników i rzemieślników przewoziły produkty statkami Wisłą i wyskakiwały na mieliznę z towarem przywiązanym do szyi, aby brodami dotrzeć do brzegu. W ten sposób broniły przed śmiercią głodową swe rodziny, a Warszawa przez cały czas miała co jeść.

— Jak przedstawia się bezpieczeństwo osobiste i poszanowanie prawa?

— Dziś każdy w Anglii wie już o tym, że na ulicy w Polsce w każdej chwili zginąć może każdy człowiek, niewygodny dla P.P.R., Bezpieki czy N.K.W.D. Co innego jednak o tym czytać, a co innego stykać się bezpośrednio z tego rodzaju faktami. Po powrocie z Moskwy często wysłuchiwałem jako adwokat skarg rodzin, które, licząc na moje doświadczenie, prosiły już tylko o zdobycie wiadomości, co się stało z ich bliskimi. Czasem można się było dowiedzieć. Kosztowało to pięć do dziesięciu tysięcy złotych; szły one do tzw. adwokata, człowieka z reguły obcego pochodzenia, który wykorzystywał swoją znajomość z urzędnikiem Bezpieki, aby udzielić informacji, gdzie porwany się znajduje. Jego opieka prawna nad interesami klienta dalej już nie sięga; poza tym nigdy nie wiadomo, czy informacja jest prawdziwa. Aresztowanie nie zawsze jest konsekwencją aktywnej działalności danej osoby przeciwko reżimowi. Często jest po prostu wynikiem porachunków osobistych lub okazją do konfiskaty mienia aresztowanego. Aczkolwiek nie bardzo w to wierzę, być może, że stosunki w tej dziedzinie uległy później pewnej poprawie.

Pamiętam natomiast, że w pierwszych miesiącach 1945 roku na terenie powiatów brodnickiego i sierpeckiego władze sowieckie porwały wprost z szosy i pobliskich osad ponad 3500 osób. Osoby te zostały później wywiezione do obozu Szaturendorf niedaleko Moskwy. Był to jeden z tych obozów, które uległy likwidacji, a Polacy tam trzymani powrócili do kraju po jakichś siedmiu miesiącach. Nie jeden uspokoi swoje sumienie mówiąc, że Rosja okazała w tej sprawie pewną względność. A jak wygląda to w cyfrach? W obozie zostawiono około 200 osób, którzy, jako zakwalifikowani do "czwartej listy ludowej" za czasów okupacji niemieckiej, zostali przez bolszewików potraktowani jako *Volksdeutche*. Żywych wróciło 500 osób, przeważnie mężczyzn, bowiem spośród 250 kobiet pozostało przy życiu zaledwie kilka, z sześćdziesięciu czterech dzieci wszystkie zmarły.

Od lipca 1945 roku masowych wywożeń do Rosji nie było, ale to zawsze grozi, bo nie przestała obowiązywać umowa z dnia 26 lipca 1944 r. zawarta z Komitetem Lubelskim, a upoważniająca Rosję do ścigania jej wrogów także i na terenie Polski.

Prawo nie obowiązuje w żadnej dziedzinie. Weźmy np. właściciela, którego majątek został rozparcelowany. Nie ma przepisu zabraniającego mu mieszkać w pobliżu jego dawnego majątku, ale niech by się tylko pokazał choćby w obrębie tego samego powiatu!

— Czy dają się zauważyć objawy demoralizacji?

— Niestety tak. Osiem lat walki o wolność, o prawo do egzystencji indywidualnej a przeciw narzuconemu z góry porządkowi wyrządziło szczerby w zdrowych instynktach i moralności życia osobistego. W bilansie strat narodowych pozycja ta stoi na jednym z pierwszych miejsc. Jedną z głównych broni w walce słabych z silnymi był sabotaż pracy. Żółw — symbol tej metody — nie schodził ze ścian domów. Łapówka niestety stała się pozycją wkalkulowaną w każdy krok obywatela. Niedawno jechałem autobusem w Londynie i widziałem, jak ludzie przy wysiadaniu zostawiają sąsiadom pieniądze dla konduktora, gdy ten nie zjawi się na czas. Patrzyłem na to z zazdrością — u nas to nie byłoby możliwe. Przez lata okupacji zachęcano bowiem do jazdy tramwajami "na gapę", aby nie wzbogacać Niemców zagarniających dochody z komunikacji; zamiast tego dawano napiwki konduktorowi, który z pensji, jaką mu okupant naznaczył, nie byłby w stanie utrzymać siebie i rodziny. Dziś trudno byłoby wymagać od tego skądinąd wspaniałego obywatela, polskiego tramwajarza, aby odznaczał się tak skrupulatną uczciwością jak obywatel angielski.

Za akt patriotyczny było uważane oszukanie Niemców przy płaceniu podatków. Sam otrzymywałem duże sumy od zorganizowanych konspiracyjnie urzędników skarbowych, którzy ryzykując głową zwalniali zupełnie płatników od płacenia wysokich podatków na rzecz państwa niemieckiego, a brali od nich w zamian za to znaczne kwoty jako ofiary na robotę podziemną. W takiej jednak sytuacji musiało być sporo ludzi, którzy poprawiali swe ciężkie warunki materialne pobieraniem opłat od płatników nie na jakieś cele, ale na rzecz swoją.

Po wypędzeniu Niemców stan ten nie uległ żadnej poprawie. Istnieje bowiem tendencja, by prywatnemu przedsiębiorcy odebrać cały jego dochód w drodze podatków. I tak wyliczano mi kiedyś, że przedsiębiorstwo o dwumilionowym dochodzie rocznym (co w obecnych warunkach nie jest wielką sumą) chcąc uiścić wszystkie opłaty musiałoby zapłacić 1 milion 945 tysięcy. Tego rodzaju ustawodawstwo podatkowe powoduje, że przekupuje się urzędników skarbowych względnie prowadzi się fałszywą księgowość. Wiadomo, jak trudno wyzbyć się złych przyzwyczajeń, to też długich lat będzie potrzeba, zanim stosunek obywatela do państwa wróci do przedwojennej normy.

— Czy jednak nie widzi Pan jakich jaśniejszych barw w tym, jak słusznie Pan zauważył, tragicznym obrazie?

— Mimo olbrzymich szczerb w masie biologicznej, mimo ogromnie trudnej sytuacji życiowej przeciętnego człowieka Naród Polski jest narodem wspaniałym swym przywiązaniem do wolności i swą wiarą w zwycięstwo. Gdy jeżdżąc teraz po Europie widziałem beznadziejność na twarzach Francuzów, czy uczucie niepewności, jakie panuje we wszystkich ośrodkach włoskich, tę dziwną bezradność wobec grozy sytuacji i narastających nowych problemów, to ogólne zmęczenie wśród społeczeństw zwycięskich i chęć spokoju za wszelką cenę nawet przy pełnej świadomości, że ten spokój może już w niedalekiej przyszłości zakończyć się katastrofą na miarę światową,— to nie mogę się oprzeć przekonaniu, że Naród Polski jest naprawdę wielki swą siłą moralną, która daje mu nie werbalną, ale rzeczywistą zdolność do walki o jego ideały.

Naród Polski jest wielki także swoją ofiarnością. Nie myślę w tej chwili o ludziach tzw. bogatych, którzy utracili majątki, fabryki, ale pamiętam ludzi prostych, których znam tak dobrze z Powstania Warszawskiego. Żaden z nich nie narzekał, gdy tracił w pożarze czy od bomby cały majątek składający się z kilku stołków i pierzyn i paru naczyń kuchennych, a będący niejednokrotnie dorobkiem całego życia. Poniósł te straty, a co więcej został potem wypędzony jak bydlę i jak to bydlę musiał czasem szukać schronienia w chlewie. A przecież nie przeklinał! Abstrahując od oceny politycznej Powstania, przeciętny Warszawianin wspomina je z największą czcią, jako ofiarę, w której i on złożył swoją cząstkę dla Ojczyzny, jako jedyny moment w ciągu tych siedmiu lat, w którym mimo huku bomb, szalejących pożarów i głodu, czuł się wolnym Polakiem.

Naród Polski jest wielki swoją solidarnością. Wspominałem już o niej poprzednio. Człowiek, wracający do Polski z Zachodu czy Wschodu, odczuwa najlepiej atmosferę tej solidarności. Otacza go natychmiast żywiołowa wprost serdeczność i gotowość do wszelkiej pomocy w granicach możliwości. Zdarza się czasem pod wpływem tego zbiorowego serca, że wracający zatraca w pierwszym okresie po swoim przybyciu poczucie rzeczywistości, która niestety panuje w Polsce, i dopiero po krótszym lub dłuższym okresie czasu budzi się jakby i stwierdza, że znajduje się pod wrogą okupacją.

Mówiłem też o prężności gospodarczej społeczeństwa; musi być podziwiana jego zdolność do wytrwania w walce w najtrudniejszych warunkach.

Wydaje mi się, że wymienione elementy wielkości są nieprzemijające i będą stanowiły o ostatecznym zwycięstwie w toczącej się rozprawie o być lub nie być. W zmaganiach tych bowiem wchodzą w grę nie tylko środki mechaniczne, ale także, a nawet przede wszystkim wartości duchowe. Niestety na świecie za mało jest jeszcze zrozumienia wagi tych wartości. Nie ma dotąd dostatecznej świadomości, że to właśnie Sowiety świadomie je deprecjonują, chcąc wytworzyć w nas poczucie wewnętrznej słabości. Pytają nas, ile produkujemy czołgów czy samolotów miesięcznie, czy możemy wytwarzać bombę atomową,— to ma być jedynym sprawdzianem naszej wartości i siły. To tak, jakby się kto pytał Watykanu, ile produkuje bomb, ile ma eskadr i armij, nie pomnąc, że jednak panuje nad milionami dusz i w walce najpotężniejsze mieć może siły do swej dyspozycji.

Jestem przekonany, że świat zachodni, gdy uświadomi sobie dokładnie mechanizm toczącej się walki o przetrwanie cywilizacji chrześcijańskiej, będzie musiał — i to niezadługo — sięgnąć do tej wielkiej skarbnicy ducha, jaką reprezentuje społeczeństwo polskie w Kraju. Bez ogniwa polskiego front zachodni jest nie do utrzymania.

Rozmowę przeprowadziła
ALEKSANDRA POLESKA

M. E. ROJEK

POLITYKA POLSKA W DZIEJACH EUROPY*

NOWA, pierwsza po wojnie, książka Jędrzeja Giertycha powinna stać się dla wielu z emigracji bodźcem do głębszej pracy umysłowej na rzecz narodu polskiego. Mówimy tu "na rzecz narodu polskiego", a nie "na rzecz sprawy polskiej", gdyż wydaje się nam, że przed emigracją stoi zadanie jeszcze rozleglejsze, niż przyczynienie się do rozwiązania obecnych polskich problemów politycznych. Są to problemy duże, z największym z nich problemem niepodległości na czele, ale niemniej są to problemy w obecnej swojej formie nie wiecznotrwałe. Po pewnym okresie czasu zostaną one rozwiązane, nie wyczerpując jednak przez to samo wszystkich zadań, jakie stają przed obecną emigracją polską.

Sprawa przedstawia się nam następująco.

Naród polski jest nieodłącznym i niezbędnym składnikiem europejskiej, czy zachodniej, cywilizacji. Fakt ten wydaje się jednak naturalnym tylko nam samym, Polakom, natomiast nie stał się on bynajmniej dotąd jeszcze prawdą powszednią dla narodów zachodnich. "Europejski Zachód — pisze Giertych — na ogół jeszcze nie rozumie, czym Polska jest i być musi." Uzupełnijmy to twierdzenie uwagą, że ignorancja tego Zachodu *in rebus polonicis* jest straszliwa. Autor niniejszej recenzji zaglądając podczas czytania książki Giertycha do *Encyklopedii Brytyjskiej*, wydanie 1946, znalazł tam np. pod pozycją *The Teutonic Order* rozprawkę opartą głównie o dzieło pruskiego historyka von Treitschkego z roku 1871. Można sobie wyobrazić, co ten wojujący przedstawiciel prusactwa w nauce napisał o Krzyżakach i jak my wyglądamy w jego przedstawieniu.

Podobnie jak z jednej strony oczerniają nas w światowej literaturze historycznej i politycznej Niemcy, tak z drugiej czynią to Rosjanie. Biała emigracja rosyjska nie cała zgoła była nietwórcza. W głównych językach Europy Zachodniej istnieje szereg poważnych dzieł rosyjskich uczonych i pisarzy emigracyjnych na tematy związane ściśle z naszą historią i naszym dorobkiem cywilizacyjnym. W dziełach tych nie rzadko spotykamy się z przeinaczeniem prawdy o Polsce. Jeden z tych pisarzy np., Mikołaj Zernow, wspomina w jednej ze swoich książek wydanych po angielsku, że wśród opryczników Iwana Groźnego byli Polacy. Historyk angielski W. E. D. Allen w swojej historii Ukrainy opowiada, że o zwycięstwie Sobieskiego nad Turkami pod Chocimem *zadecydowała* kawaleria moskiewska, posiłkująca Polaków zgodnie z postanowieniami traktatu andruszowskiego. Ale to są tylko szczegóły. Najważniejsze jest to, że cały dorobek cywilizacyjny i historyczny polski jest światu bądź nieznany, bądź przedstawiony w krzywym zwierciadle przez autorów o nazwiskach naukowych, którzy są naszymi wrogami. Polak, który w ciągu ostatnich paru lat kryzysu światowego choćby pobieżnie tylko zajrzał do poważnej literatury politycznej Zachodu — *do lektury żywiącej umysły nie czytelników gazet, ale elity uniwersyteckiej* — nie może dziwić się niezrozumieniu i często nieżyczliwości w traktowaniu sprawy polskiej na Zachodzie.

Emigracja obecna ma tu ogromną, historyczna wręcz rolę do odegrania i robotę do wykonania. Emigracja musi wytworzyć formy tej nowej pracy i musi przejść od broszur do dzieł poważniejszych. Ale przede wszystkim emigracja musi sama wiedzieć o co chodzi i czym naprawdę jest Polska dla świata.

Zadanie jest tym trudniejsze, że historiografia polska wykazuje poważne luki. Brak nam jeszcze monografij o bardzo ważnych zagadnieniach. Nie zostało jeszcze np. opracowane zagadnienie wpływu cywilizacji polskiej na Moskwę w XVII wieku, a z drugiej strony brak dotąd systematycznego opracowania wpływów wschodnich w tym samym czasie na cywilizację polską. Niektórzy publicyści polscy, nie widząc odpowiednich opracowań, sądzą nawet, naiwnie, że nie było takich historycznych problemów.

Na ogół jednak analityczny okres ostatnich lat kilkudziesięciu opracowywania poszczególnych zagadnień przez historiografię polską przyniósł wiele nowych oświetleń, i czasem nawet odkryć, które jednak nie zdołały jeszcze dotrzeć do świadomości Polaków interesujących się głębiej zagadnieniami bytu narodowego. Obowiązujące, jakby oficjalne, syntezy poglądów na dzieje Polski muszą być uznane za przestarzałe,gdyż nie liczą się z tymi najnowszymi wynikami żmudnej pracy uczonych w różnych dziedzinach nauk humanistycznych.

INICJATYWA AUTORA

Przy tym stanie rzeczy poważna rozprawa, jaką dał nam Jędrzej Giertych, przedstawiając nową syntezę rozumienia wątku naszej historii, powinna stać się owym przysłowiowym kamieniem, za którym idzie lawina. Takiej lawiny pracy teraz nam właśnie na emigracji potrzeba.

Jędrzej Giertych nie jest — jak to sam o sobie stwierdza — "zawodowym historykiem, a nawet nie posiada formalnych studiów historycznych". Jest on publicystą traktującym o problemach politycznych w historii i wzorem mu jest wielki Jacques Bainville, autor *Histoire de France*.

Nie będąc zawodowym historykiem, Giertych zna jednak dobrze swój przedmiot. Studiując od lat kilkunastu historię polityczną Polski zaznajomił się dokładnie z dorobkiem naszej historiografii i przemyślał główne nasze historyczne problemy. W książce swojej przyjął metodę obfitego cytowania historyków, na których w pracy swojej się opiera, lub z którymi polemizuje. Około dwudziestu nazwisk historyków polskich i dziesięć cudzoziemskich, przeważnie niemieckich i francuskich — oto zastęp autorów, których dzieła i poglądy będzie musiał wziąć pod uwagę każdy krytyk wywodów Giertycha.

Pomimo to praca Giertycha nie jest bynajmniej kompilacją. Nie jest to zresztą książka opowiadająca dzieje Polski. Jest to poważnie udokumentowana rozprawa o wątku naszych dziejów narodowych, ułożona we formie przeglądu najważniejszych zagadnień. Całość ma się składać z sześciu rozpraw szczegółowych. Książka wydana obecnie zawiera trzy rozprawy: o epoce pierwszych Piastów; epoce zmagań z Zakonem Krzyżackim oraz epoce jagiellońskiej. Część druga, jeszcze nie wydana, choć naszkicowana pobieżnie w ostatnich rozdziałach wydanej obecnie części pierwszej, zawierać ma rozprawy dalsze: o epoce walki z Reformacją i Islamem; epoce burzenia Polski przez Prusy oraz epoce ponownego dźwigania się Polski.

ZAGADNIENIA POLITYCZNE I DYPLOMATYCZNE

Od razu trzeba zaznaczyć, że Giertych zajmuje się historią *polityczną* Polski, zarówno od strony rozwoju wewnętrznego, jak i stosunków ze światem zewnętrznym. Nie znaczy to, jakoby autorowi obce były sprawy społeczne, czy związek zagadnień politycznych z ekonomicznymi, ale że koncentruje on swoją uwagę i pracę myśli na zagadnieniach politycznych, uwzględniając inne o tyle tylko, o ile wpływają one na politykę. Przez politykę zaś Giertych rozumie świadome działanie ludzkie, a nie rozwój ślepych sił dziejowych, skłaniając się w ten sposób ku temu kierunkowi wśród historyków, który kładzie nacisk na rolę jednostek w kształtowaniu historii, a dopiero na drugim planie umieszcza tendencje społeczne mas. A wiec dla Giertycha np. jednostronny rozwój Polski w kierunku przewagi jednego stanu nie jest wynikiem jakiegoś od woli ludzkiej niezależnego procesu społecznego, ale polityki królów z dynastii jagiellońskiej, którzy wedle Giertycha czuli się w Polsce władcami Litwy przede wszystkim i sprzymierzali się z tłumem szlacheckim, nie rozumiejącym polityki, przeciw warstwie rządzącej panów polskich usiłujących tym litewskim dynastom narzucić narodową politykę polską, a więc ograniczyć ich w ich litewskich pojęciach i zamiarach.

Przy kładzeniu takiego nacisku na element polityki w historii narodu na plan pierwszy wybija się naturalnie u Giertycha zagraniczna polityka polska oraz w ogóle polityka międzynarodowa. Nadaje to książce wybitne piętno indywidualne, niezwykle interesujące dla czytelnika polskiego naszej generacji, który w własnej swojej praktyce życiowej przechodzi przyśpieszony kurs polityki międzynarodowej.

Trzeba bowiem tu wyraźnie powiedzieć, że Giertych zrywa z tym kierunkiem, czy nawykiem, myślenia polskiego, który nie może rozpatrywać historii polskiej bez rozwodzenia się nad naszymi prawdziwymi lub urojonymi "wadami" narodowymi. W rzeczy samej naród polski wcale nie jest gorzej od innych narodów wyposażony w przymioty potrzebne do zbudowania i utrzymania państwa i prowadzenia polityki, a czasem nawet w masie swojej przejawia zadziwiające instynkty państwotwórcze — w ostatnich wiekach często wbrew wyobrażeniom własnej warstwy kierowniczej. Naród nasz zasługuje na lepszych kierowników politycznych, niż ich — z nielicznymi wyjątkami — miał w ostatnich kilku okresach swojej historii. Dużo światła na to zagadnienie rzuca właśnie książka Giertycha, szczególnie w ocenie jagiellońskiego okresu naszej historii. Naszym zdaniem uzależnianie wyników polskiej polityki od naszych zalet czy wad narodowych jest rozumowaniem wybitnie jednostronnym i jest dowodem — u tych, którzy chorobliwie oddają się temu procederowi, — największej wady polskiej warstwy kierowniczej naszych czasów, t.j. zarozumiałości, której się wydaje, że wszystko co się politycznie dzieje w Polsce i dookoła niej zależne jest od polskiej psychologii narodowej. Zarozumiałość ta jest często następstwem prowincjonalności umysłów, które na nią cierpią, oraz braku solidnego treningu umysłowego, na jaki w naszych warunkach niełatwo było nam się zdobyć. Jedną ze szkód spowodowanych przez szkołę patrzenia na losy Polski od strony wyłącznie wewnętrznej jest nierozsądna skłonność zaznajamiania cudzo-

*) Jędrzej Giertych: *Polityka polska w dziejach Europy*. Londyn, 1947. Nakładem autora (16, Belmont Road, London, N.15); drukiem *Montgomeryshire Printing and Stationary Co. Ltd.*, Newtown. Stron XII i 453. Cena 18s.

ziemców przede wszystkim z naszymi zagadnieniami wewnętrznymi, które często mają raczej luźny tylko związek z pozycją i rolą Polski w Europie.

Giertych, pisząc zresztą dla Polaków, nie popełnia tego błędu i rzuca nasze zagadnienia na rozległe tło europejskie i światowe. A ponieważ ten właśnie sposób rozumienia naszej historii wydaje się nam właściwy, okoliczność ta skłania nas do wyrażenia nadziei, że książka Giertycha będzie tu szczęśliwym początkiem nowej postawy polskich pisarzy politycznych niezależnie od tego, czy książka sama skupi przy sobie większość polskiej opinii czytelniczej. Nie absurdalność polskiego *liberum veto*, ale ukazanie, jak wiele w historii Europy zależało od nas i jak wiele przyczyniliśmy się do takiego a nie innego ukształtowania jej losów — oto są zagadnienia, które powinniśmy i sami rozumieć i innym umieć je wyłożyć. Jak słusznie to wywodzi Giertych, rola nasza w niedopuszczeniu już w średniowieczu do niemieckiej hegemonii w Europie oraz w zapewnieniu Europie Zachodniej w jej rozwoju cywilizacyjnym bezpieczeństwa od strony lądowej masy azjatyckiej — była ogromna i — dodajmy — nic nie wskazuje na to, żebyśmy w Europie stali się zbędni, lub żeby Europa mogła się bez nas obejść.

KTO OBJĄŁ POLITYCZNĄ ROLĘ PAPIESTWA

Giertych jest gorącym zwolennikiem jedności cywilizacji europejskiej i naszego z nią związku. I dlatego rozpatruje on każdy nasz problem dziejowy na tle europejskim, t.z. najczęściej na tle światowym. I tak np. interesujące jest porównanie przez Giertycha roli średniowiecznego Papiestwa z rolą nowoczesnych europejskich państw narodowych Zachodniej Europy i — dzisiaj — Ameryki Północnej. Papiestwo broniło koncepcji uniwersalizmu chrześcijańskiego i jedności europejskiej cywilizacji, w wielości jej narodów, przeciw niemieckim zamysłom utworzenia jednego *monstre* państwa niemieckiego. Dziś zadanie *obrony politycznej* uniwersalnych wartości cywilizacji europejskiej przed ruchami totalitarnymi i imperializmami, wychodzącymi z Niemiec i z Rosji, spada na Amerykę, Brytanię, Francję. Tylko że Papiestwo w średniowieczu rozumiało i swoje zadanie i rolę Polski w Europie, mocarstwa zaś zachodnie nie rozumieją jeszcze dokładnie ani jednego ani drugiego. Bolesławowie nasi i ich następca Łokietek opierali się o Rzym, ale Rzym ówczesny nie czekał na ich przybycie, ale sam ich szukał. Paryż, Londyn i Waszyngton pod tym względem nie doszły jeszcze do poziomu polityki średniowiecznych papieży. Miejmy nadzieję, że rozwój wydarzeń światowych zmusi je do tego, ale i sami też nad tym pracujmy i to nie wyłącznie przy pomocy broszur.

Za najważniejsze w pierwszej rozprawie Giertycha — o epoce pierwszych Piastów — uważam oparcie się o niezwykle interesującą tezę Feliksa Konecznego, jednego z wybitniejszych historyków polskich naszych czasów, o bizantyńskim charakterze cywilizacji państwowości niemieckiej, i w średniowieczu i później — aż do naszych czasów. Jest to teza tak dobrze wyjaśniająca tragedie, na jakie od dawna Niemcy narażają Europę, iż powinno być staraniem emigracji uprzystępnić oryginalną rozprawę Konecznego uniwersytetom europejskim i amerykańskim. Z uświadomienia sobie, do czego prowadzi bizantyński wątek w niemieckich pojęciach i instytucjach politycznych, wynikną łatwo środki na zaradzenie obecnym trudnościom w regulowaniu powojennym spraw europejskich. Nie chodzi tu bynajmniej o cały cywilizacyjny dorobek Bizancjum, który jest olbrzymi i który stanowi niezastąpioną wartość w całości konstrukcji europejskiej cywilizacji, ale o pojęcie państwa i polityczne rozumienie świata, które w systemie bizantyńskim jest anachronizmem z epoki pogańskiego Rzymu. Pojęcie to było na swoim miejscu w swoim czasie, obecnie staje się ono źródłem klęsk na skalę światową. Przez rozpowszechnienie tezy Konecznego emigracja polska znalazłaby łatwiejszy dostęp do elity umysłowej zachodniej zarówno katolickiej, jak i liberalnej.

Świetnym przyczynkiem do rozumienia niektórych zagadnień naszej historii jest też w książce Giertycha charakterystyka Zakonu Krzyżackiego. W charakterystyce tej autor nie wahał się znowu cytować źródeł zachodnioeuropejskich o cesarzu Fryderyku II i rządach jego na Sycylii. Stąd bowiem, z bizantyńsko-arabskiej szkoły politycznej absolutyzmu niemieckiego, wywodzą się Krzyżacy. W podręcznikach naszej historii z melancholią mówi się o błędzie Konrada Mazowieckiego, ale czy zdajemy sobie sprawę, że ten dobrej wiary dzielnicowy książe mazurski miał jako partnera w rozmowach dyplomatycznych jednego z najwybitniejszych wtedy polityków światowych, wyposażonego w całą mądrość Zachodu i Wschodu Hermana von Salza, przyjaciela i doradcę Fryderyka II, oraz pośrednika między nim a Papieżem? Za Hermanem zaś stała potężna organizacja Zakonu, który bynajmniej nie tylko nie był zakonem chrześcijańskim w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale stanowił prawdopodobnie tajną konspirację antychrześcijańską. Gdyby na ten temat ukazała się solidna polska praca historyczna np. w języku angielskim, nie ulega wątpliwości, że znalazłaby dostęp do wszystkich naukowych wydawnictw periodycznych typu humanistycznego na całym świecie, i że wpływ jej na rozumienie naszego dorobku historycznego i prawdziwej roli Niemców we wschodniej Europie byłby poważny i trwały.

REWIZJONIZM W OCENIE JAGIELLONÓW

Prawdziwym rewizjonistą historycznym staje się Giertych w trzeciej swojej rozprawie, zamieszczonej w wydanej książce, a traktującej o epoce Jagiellonów w historii Polski. Trzeba się spodziewać, że ta właśnie rozprawa wywoła najwięcej dyskusji, gdyż poddaje ona krytycznej ocenie cały dorobek Unii naszej z Litwą i Rusią Zachodnią. Wątek swojej oceny snuć będzie autor zapewne w zapowiedzianych dalszych trzech rozprawach.

Rozprawa o epoce jagiellońskiej jest najdłuższa w książce Giertycha i naprózno byłoby tu ją streszczać. Zajmuje ona w książce więcej stronic, niż obie poprzednie rozprawy razem wzięte. Krytyka polityki dynastów jagiellońskich jest obszerna i dobrze udokumentowana. Stanowi ona niejednokrotnie lekturę zawierającą w sobie dreszcz sensacji w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie ulega wątpliwości, że z jeszcze większym zainteresowaniem, jeżeli to możliwe, czytać będą krytykę Giertycha ci, którzy znają wydane w 1936 r. we Lwowie dzieło prof. Ludwika Kolankowskiego p.t. *Polska Jagiellonów.* Książka ta jeszcze bardziej niż dzieła wcześniejsze przyczyniła się do ugruntowania w Polsce opinii pełnej szacunku i religijnego nieledwie przywiązania do t.zw. "idei jagiellońskiej". Giertych nie mówi jeszcze o "idei jagiellońskiej", która w czasach Jagiellonów nie była wcale znana, ale za to poddaje druzgocącej krytyce politykę Jagiellonów w Polsce, mającą na celu wedle Giertycha przede wszystkim dobro Domu Jagiellońskiego i podporządkowującej temu celowi wszystkie polskie wartości i dążenia polityczne.

Szczególnie ciekawe i interesujące jest przedstawienie w nowym świetle starcia się sprzecznych ze sobą interesów dynastii jagiellońskiej i państwa polskiego wobec przewrotu husyckiego w Czechach. Reprezentant polityki polskiej Oleśnicki, gorliwy katolik, ale kierujący się przede wszystkim polską racją stanu, chciał przy tej sposobności odzyskać dla Polski Śląsk i może nawet część Łużyc, które to kraje stanowiły wówczas część Królestwa Czeskiego. Jagiellonom zaś, zwłaszcza Kazimierzowi Jagiellończykowi, zależało przede wszystkim na osadzeniu jednego z synów na tronie czeskim i następnie, zgodnie z polityką dynastyczną, na tym, żeby posiadłości nowopozyskanego królestwa były nieuszczuplone. Przez cały wiek XV Śląsk garnął się do Polski, ale wszelkie usiłowania w tym kierunku uświadomionej propolsko ludności śląskiej spotykały się z przeszkodami na dworze królewskim w Polsce. Trwało to kilkadziesiąt lat. Jak z jednej strony długotrwałe było dążenie Śląska do połączenia się, tak samo długotrwała i niezmienna z drugiej strony była determinacja dworu jagiellońskiego do utrzymania Śląska przy Czechach. Po śmierci Oleśnickiego raz jeszcze doszło do dogodnej koniunktury, kiedy Morawy, Śląsk i Łużyce podniosły chorągiew buntu przeciw królowi Jerzemu z Podiebradu. Żyjący jeszcze Długosz usiłował przeprowadzić myśl Oleśnickiego. Ale Kazimierz Jagiellończyk postawił na swoim. Doszło do tego, że Śląsk nie mogąc przyłączyć się do Polski, a nie chcąc zostać przy husyckich Czechach, przeszedł traktatem z 1478 r. — razem z Morawami i Łużycami — we władanie Królestwa Węgierskiego! Gorzko brzmią słowa Długosza o odmowie wzięcia udziału w poselstwie od Kazimierza do Czech z programem pośrednicenia między Jerzym i Ligą Baronów i Miast Katolickich — t.zn. z programem utrzymania całości dzierżaw czeskich w zamian za układy o następstwie dynastycznym — że "nie godzi mu się przyjąć tego poselstwa". Przez następną swoją odmowę przyjęcia arcybiskupstwa praskiego — jednego ze świetniejszych w Chrześcijaństwie — staje proboszcz i kanonik Długosz, historyk i wychowawca, w rzędzie prawdziwych polityków, jeżeli za sprawdzian dojrzałości politycznej poczytamy umiejętność rezygnacji z zaszczytów osobistych, za którymi kryje się klęska polityczna.

Oto przykład z krytyki polityki dynastii jagiellońskiej przez Giertycha.

Chwaląc tak książkę, nie mamy zamiaru bynajmniej twierdzić, że nie ma w niej nic

---

JERZY PIETRKIEWICZ

WIERSZ PATRIOTYCZNY

Jest tylko jedna granica
na poprzek snu,
przez którą noc mi przemyca
chochoły z chorego lnu.

Len rozprząść w liryczne strzępy,
z karków zdjąć pętle judaszom . . .
Może dzień będzie mniej tępy,
chochoły od nocy odstraszy?

Ale ta jedna granica
przez środek snu —
jak szrama do końca życia
zostanie. Jak knebel w tchu.

JERZY PIETRKIEWICZ

do krytykowania. Autor jest wyrobionym publicystą politycznym, pracowitym i zdolnym pisarzem, nie zdołał jednak uniknąć przedstawiania czasem zagadnień skomplikowanych w sposób zbyt prosty. W szczególności odnosi się to do przedstawienia wpływu sekt i organizacji tajnych na bieg polityki. Nie zawsze tak jest, że tam gdzie korzyści z pewnego działania są oczywiste, a samo działanie nie zostało przedsięwzięte, — winna była jakaś konspiracja. Konspiracje polityczne i ideowe istnieją i na politowanie zasługuje taki historyk i taki polityk, który ich nie widzi, ale z drugiej strony dużą rolę odgrywają i inne sprawy: wady osobiste, wpływ kobiet w życiu osobistym polityków, a wcale nierzadko zwyczajna nieorientacja lub czasem nawet głupota. Dobrym przewodnikiem dla historyków powinny być słowa przypisywane kaclerzowi szwedzkiemu Oxenstiernie z okazji wyprawiania syna w podróż edukacyjną za granicę: "*a teraz, synu, będziesz miał sposobność zauważyć, jacy to głupcy rządzą światem*".

DZIEŁO PISANE W NIEWOLI

Szczere uznanie należy się autorowi za jego dzieło napisane w czasach i warunkach tak trudnych. Jędrzej Giertych wziął chlubny udział już w wojnie 1920 r. W 1939 r. powołany jako podporucznik rezerwy marynarki pod broń wziął udział w obronie półwyspu Hel. Znalazłszy się w niewoli niemieckiej, kilkanaście razy usiłował z niej uciec, a w czasie wolnym od uciekania czytał wiele i pisał oraz wygłaszał odczyty dla międzynarodowego audytorium jenieckiego. To co napisał, zdołał wysłać do domu w Warszawie, pochłoniętym następnie w czasie powstania przez ogień wraz z rękopisami. Rękopis jednak pracy ogłoszonej obecnie w Londynie pozostał w obozie, przepisany ręcznie w dwu egzemplarzach przez specjalnie do tego celu powołaną komórkę organizacji jenieckiej i przechowywany w coraz to różnych kryjówkach. Doczekał on szczęśliwie razem z autorem końca działań wojennych i uzupełniony w Londynie przypiskami i cytatami z dzieł historycznych został tu opublikowany nakładem autora.

Jest utarty pogląd, że książki powinny być wydawane przez firmy do tego powołane, ale jeżeli się zważy, jak niewiele autor otrzymuje z tego co czytelnik płaci za jego książkę, a jak wiele idzie na pośredniczącą firmę wydawniczą, to dojdzie się do wniosku, że instytucja zastępcza "nakładem autora" ma swoje uzasadnienie. Z wnioskiem tym recenzent łączy życzenie dla autora powodzenia zarówno wydawniczego jak pisarskiego w dziele, przedsięwziętym w czasie tak pełnym niepewności na tematy związane z tym co trwałe i nieprzemijające w życiu naszego narodu.

MARIAN EMIL ROJEK

POSIEW PRZYSZŁOŚCI

KOLEJE przyjaźni francusko-polskiej przechodziły od lat blisko ośmiu przez wyboje i zakręty niebezpieczne. Nie ma potrzeby bliższego wyjaśniania tego faktu. To co zostało po tych latach próby dowodzi coraz wyraźniej, że ta przyjaźń się ostała i zbiera się ku nowej przyszłości. Lata pobytu na tej wyspie przekonały nas Polaków o naszej rdzennej kontynentalności. Że zaś rozumiemy coraz lepiej, iż nie ma kontynentu bez Francji, a zwłaszcza kontynentalnej polityki bez zajęcia przez Francję należnego jej miejsca i odegrania przez nią przypadającej jej roli — coraz też jaśniej czujemy, że, po dawnemu, losy obu sąsiadów Rzeszy, Francji i Polski są nieuchronnie ze sobą związane.

Stwierdzić to trzeba mocno, bez względu na to czy się to komuś uczuciowo podoba czy nie — ale raczej na ogół się podoba.

Hamulce działają nadal znaczne. Polityka francuska nie odnalazła jeszcze swych dróg i chadza po manowcach i bezdrożach. Nie wyszła ze ślepej ulicy. Natomiast wszędzie pod popiołami klęski tlą się żywe zaczątki odnowy starej przyjaźni. Dowodów życzliwości bez liku nazbierać mogą nasi rodacy w głębi, nieraz i na dnie społeczeństwa francuskiego. Milkną one i cichną przy zgiełku wielkiej polityki. Uważny obserwator zauważy je jednak na każdym kroku.

Najważniejsze są tu nie echa przeszłości, ale zaczyny przyszłości. Otóż tu stwierdzić należy, że tragiczne lata drugiej Wojny Światowej przyniosły pewne rzeczy nowe, i to nie wszystkie złe. Dotąd strona polska bywała przeważnie stroną biorącą: i tak było w czasie Wielkiej Emigracji i trwało to całych lat sto potem. Teraz zaczyna być przeciwnie. Polska zachowała się w czasie tej wojny moralnie lepiej: Francuzi to czują i uczą się, oni też, w Polsce widzieć pewną moc ideału, której oni nie dorównali. Do tego przyłączają się wspólne dole i niedole lat niewoli i obozu. Co trochę ukazywać się poczynają wspomnienia i pamiętniki z domu niewoli. Na kartach tych pamiętników Francuzi Polaków spotykali co krok. Często, jako jeńcy i wysiedleńcy, napotykali tych Polaków na ich własnej, polskiej ziemi — i to w latach bohaterskiej walki podziemnej. Pomoc i serce okazywane Francuzom przez uciśnioną ludność polską nie zginą im z pamięci. Znajdują się tu ziarna, podlane krwią, które niepostrzeżenie dziś rosną i kiedyś bujny plon przyniosą.

Właśnie taka książka ukazała się niedawno we Francji i doczekała się odrazu jednej z nagród literackich. Laureat p. Francis Ambrière jest autorem dwu powieści i szeregu studiów literackich, idących od XVI wieku (du Bellay) po XIX (Flaubert). Jest humanistą. Z sympatyj, sądzić wolno, bliższy lewicy niż prawicy. Wojna pozbawiła go wszelkiego sekciarstwa, ale zostawiła mu, czy udzieliła, pewnej ostrości stylu, niepozbawionej umyślnej wulgarności i zamierzonej trywialności. Coś jakby sobie autor postanowił wrócić do pewnych efektów naturalizmu. Ale nie wróżę tej manierze długiego trwania. Francis Ambrière za dużo widział, za wiele przeżył, by mu treść formy nie urobiła. Jestem raczej o niego spokojny.

Nas interesuje tu ta jego książka ostatnia, *Les Grandes Vacances* 1939-1945*), rozdziałem opisującym półtoraroczny pobyt w obozie w Kobierzynie pod Krakowem. Został tam przez Niemców wywieziony jako osobnik buntowniczy, nienadający się do spokojnego przebycia niewoli. Właśnie z takich elementów składał się Kobierzyn.

Pobyt w Polsce stał się dla autora rewelacją narodu najbliższego, jak sądzi, Francji, gatunkowo i wartościowo. Prawdzie tej wydaje niezbite świadectwo. Świadectwo to jest tak mocne i tak ważkie, że nabiera znaczenia dokumentu. Uważamy za swój obowiązek czytelnikowi polskiemu je udostępnić. Oto jego brzmienie:

"Proszę zapytać więźniów z Rawy Ruskiej, Lwowa czy Kobierzyna: żaden z trzydziestu tysięcy Francuzów, którzy przebywali tam, nie ukrywa swego podziwu i swej wdzięczności dla Polaków. Dawali oni nam bez ustanku przykład swego męstwa, dawali nam też pociechę pod postacią czynnego współczuwania (*sympathie militante*). Mimo zniszczonej stolicy, mimo całego terytorium podbitego, w części anektowanego, w części okupowanego, mimo ludności mordowanej, deportowanej i prześladowanej przez terror hitlerowski — nie spotkałem ani jednego Polaka, który by wątpił w przyszłość ojczyzny, ani jednego, który by wszystkiego nie oddał za nią: tak było wśród wszystkich, których znałem czy to w stalagach niemieckich, gdzie przebywałem z nimi 15 miesięcy, czy w Krakowie, gdzie tak często się z nimi spotykałem przez dwa lata następne. Jeżeli jest naród, który — wraz z naszym — zasłużył na życie i wolność, to zaprawdę właśnie ten naród polski. Kalwa, Woźniakowski, Karłowicz, Lipiński, Matejko, Nowak — nie zapomniałem ani waszego oblicza, ani tego płomienia w waszych oczach, gdy porównywaliśmy nasze przesłanki wiary na dnie naszej nocy. Nie zapomniałem również tych uśmiechów, tych pozdrowień gorących i tak poważnych, które szły ku nam na drodze do Swoszowic, z tych chat niskich malowanych na jasny błękit i z tych dworów tonących w ogrodach i parkach, wtedy gdy maszerowaliśmy w nędzy wśród naszych eskort i straży. I nie zapomnę nigdy tego starca, który zbliżył się do mnie nie zważając na straże niemieckie w czasie mojego pierwszego pobytu w Krakowie. Zaciekawiony moim mundurem, patrzył na mnie na Rynku i wreszcie nie mógł się przemóc i zapytał, czy jestem Francuzem? Na moją odpowiedź twierdzącą — krzyknął: *Vive la France!*, zdejmując kapelusz z głowy ku zdumieniu otaczających mnie zbirów.

"Bracia Polacy, widzę was znów w ów ranek 14 lipca 1942, zebranych opodal naszych drutów kolczastych, i śpiewających wraz z nami Marsyliankę dla uświetnienia naszego święta narodowego. Widzę tę starowinę, pokrywającą kwiatami groby naszych zmarłych, na tym małym cmentarzyku, który polscy gawroszowie — andrusi czy Antki — zwali "blokiem V," którego mieszkańcy nigdy już nie zbiegną. Widzę w chwilach gdy nasze straże nie były zbyt brutalne, widzę te ręce wyciągnięte ku nam z papierosami, chlebem i owocami i zawsze z tym światłem w oczach, którym, wbrew wszelkim przeszkodom, wyrażała się wiara w naszą wspólną sprawę. Żadna rasa na świecie nie jest nam bliższa niż wasza i to co o was wiem, cierpliwość wasza, wierność, nadzieja i odwaga są właśnie tymi cnotami, które Francję żywiły i budowały wśród tylu przeszkód."

To jest zasadnicze wyznanie wiary polskiej przez autora. Podbudowane to jest mnóstwem ciekawych spostrzeżeń i opowieści. Materiał obserwacyjny dotyczy przede wszystkim Krakowa:

"Trzeba do tego wszystkiego dodać dowcip

*) 1946, Les Editions de la Nouvelle France, str. 423.

i humor, gdyż w postawę Polaków wobec ciemiężców niemieckich wchodził i element lekkiej ironii, godnej przez swą finezję najpiękniejszych tradycji francuskich. Prawdą to jest co najmniej w odniesieniu do Krakowa, miasta starej cywilizacji, gdzie kościół Najświętszej Panny i cudowny gotyk Uniwersytetu świadczą o doskonałym dojrzewaniu duchowym."

Kraków mnożył swe dowody przyjaźni i entuzjazmu dla francuskich jeńców. Sympatie te miały doniosłość największą, bo gospodarczą. W sklepach oddanych niemieckim treuhaenderom, objaśnia nas autor, portrety Fuehrera były częste, ale towary rzadkie. Natomiast sklepy czysto polskie, jakimś dziwnym cudem, miały dla tych więźniów, którzy pod eskortą niemiecką przybywali do miasta na zakupy dla obozów, całe mnóstwo towarów. Odbywało się to tak, że za czekoladę i papierosy z paczek można było i Niemca przekupić i towaru kupić . . . "Pamiętam kiedyś, na ulicy Szewskiej znajdowałem się w sklepie Kosińskiego, głównego drogerzysty krakowskiego. Hauptmann S.S. wszedł i poprosił o pastę do zębów. — Czy ma Pan starą tubkę?—zapytał kupiec, pokazując palcem na urzędowy napis, zakazujący sprzedaży nowych tubek bez zwrotu starych. — Nie, odparł Niemiec. — Żałuję bardzo, ale nie wolno mi rozkazu władz przekroczyć.— Niemiec wyszedł a nasz Francuz dostał 200 tubek bez trudności: "Zakaz jest niemiecki, orzekł kupiec, i obowiązuje tylko wobec Niemców."

Tenże Kosiński z ulicy Szewskiej na Boże Narodzenie 1943 r. obwiesił całą wystawę wodą kolońską *Coeur de France* z trójkolorowymi nalepkami.

"Wracając do Kobierzyna, opowiadałem o wszystkich tych dowodach wierności i tych prowokacjach milczących i drwiących. Za każdym moim powrotem z wyprawy, osamotnienie obozu ulegało zerwaniu. Wiedzieliśmy, że poza drutem kolczastym cały Naród — współspiskowiec myślał jak my, reagował jak my, żywił te same nienawiści i te same nadzieje, starczyło to nam za kordiał i pomagało do życia. Oto nieprzepłacone dobrodziejstwo, jakie nam wyświadczyła Polska."

Ciekawa jest lista towarów zakazanych, które Francuzi sprytem i łapówką zdołali sprowadzić do obozu: woreczki barwników dla farbowania materiałów kradzionych z magazynów obozowych, drożdże, szczoteczki, szczotki, igły gramofonowe, materiały piśmienne etc. etc., i to dla 4000 jeńców!

Autor nasz miał i szlachetniejsze preokupacje. Jako literat zajmował się w obozie teatrem i uniwersytetem, za zgodą władz obozowych. Uzyskał w ten sposób pozwolenie wyprawiania się do Krakowa po potrzebne materiały. Oczywiście pod eskortą. Ta była skłonna i do łapówek i do czarnego rynku. Skąd płynęły i wszystkie inne możliwości.

Umysłowe życie obozu było imponujące — jak to bywało i w obozach jenieckich na terenie Niemiec. Teatr: *Amphitryon* 38 Giraudoux'a, *Polyeucte* Corneille'a, *Le Sauvage* Arnouille'a, *Paquebot Tenacity* Vildrac'a i *Noel sur la Place* Henri Gheon'a. Pogadanki-wykłady w "uniwersytecie" zajmowały się autorami tej miary co Péguy, Claudel, Valéry, Gide i Proust. Traf chciał, że Ambrière już przed wojną slawizował, stąd wykłady o *Wojnie i Pokoju*, ale też i znajomość *Pana Tadeusza*, Sieroszewskiego, Reymonta, nie mówiąc o Boyu. Ta z kolei znajomość otworzyła mu drogę do serc młodych adeptek literatury, zainteresowanych literaturą francuską i polską. Czyżby to były dawne krakowskie romanistki? "Zaprzyjaźniłem się z paru młodymi Polkami, wzruszonymi moją znajomością polskich autorów i *Tadeusza*. Czy zobaczę Cię znowu kiedy, urocza *charmante* Helenko? Długo wspominać będę nasze zwiedzania Kościoła Panny Marii i wspólne śniadania na Stradomskiej (rosół lub zimna zupa owocowa, zależnie od pory roku, schab lub wołowina, czerwona kapusta i na deser omlet z konfiturami). Były i róże sprzedawane na ulicy "*dont Helenka ornait son corsage.*" "*C'était une trêve délicieuse*" konkluduje autor. Dla nas też: i z daleka wspomnieć miło.*)

Książka p. Ambrière ze swym szerokim wachlarzem wspomnień, idących od krajobrazu polskiego po polski obyczaj, od architektury Krakowa po polską literaturę, jest jednym z symptomów nowej rzeczywistości, jaką wojna podłożyła pod wiekowe związki francusko — polskie. Autor jest przekonany o zasadniczym pokrewieństwie duchowym, jakie łączy oba narody, więcej niż jakiekolwiek inne narody naszej cywilizacji. Bliskość tę upatrzył w dostojeństwie moralnym wspólnego cierpienia i wspólnego reagowania heroicznego na te cierpienie.

W tym zrozumieniu rzeczy wielkich upatrujemy właśnie zaczyn przyszłości.

(i)

---

*) Na zakończenie chciałbym podać pewien problemacik filologiczny, który jest dość trudny, czy dość — mówiąc po kresowemu — *hadki* do przedłożenia.

W obozach polskich, najpewniej w Rawie Ruskiej, powstała — dowiadujemy się tu o tym po raz pierwszy — piosenka francuska, która obiegła wszystkie obozy rozsiane po Niemczech. Muzykę ułożył ponoć ksiądz pewien. Odegrała, jak zapewnia autor, rolę Madelony. Słowa anonimowe wydrwiwały Niemców w żywe oczy i kulminowały w refrenie. Pomysł był zawadiacki: Hitler ubzdurał sobie, że jest Panem Bogiem, ale anieli się zbuntowali, donieśli o tym i Pan Bóg ukarał go — właśnie owym refrenem. Pieśń jest mało przyzwoita, styl rubaszny, ale intencja zdrowa. Oto tekst:

Un jour un homme se mit en tête
De vouloir être le Bon-Dieu.
Mais dans le ciel les Ang's rouspètent
Et avertiss'nt le Roi des Cieux.
Se penchant d'un air vénérable
Il dit en voyant l'avorton:
"*Je punirai ce misérable*
En lui jouant un tour de cochon."
Et dans le grand silence,
Il prononc' la sentence,
En donnant le signal
De ce chant triomphal:

Refrain

Dans l'cul, dans l'cul,
Ils auront la victoire,
Ils ont perdu
Tout' espéranc' de gloire,
Ils sont foutus.
Et le mond' dans l'allégresse.
Se répète avec ivresse:
"*Ils l'ont dans l'cul, dans l'cul.*"

Melodia refrenu była szczególnie pieczołowicie rozwinięta i wypracowana.

Mówiąc po polsku, motywem refrenu było: "mam go — gdzieś." Otóż, na podstawie dokładnej znajomości języka francuskiego, stwierdzić możemy, że takiego zwrotu ten język nie zna. Są różne inne możliwości wyrażenia wiecznej prawdy w tym zwrocie zawartej, — ale, raz jeszcze, takiego zwrotu w języku francuskim nie znajdziesz. Skądżeż więc ta Madelona drugiej wojny światowej, gdzieś w roku 1944 powstała, wzięła to "*ils l'ont dans l'cul*"? ?

Odpowiedź tu może być tylko jedna: nastąpiła oto podświadoma infiltracja otoczenia językowego polskiego do francuskiego obozu. Zaszedł rzadki w historii obu języków fakt idiomatycznego wzbogacenia francuszczyzny polszczyzną . . .

T. WASILEWSKI

FRONT ATLANTYCKI

OFICJALNE sprawozdanie brytyjskie z Bitwy Atlantyckiej*) jest rewelacyjne pod względem treści, a pod względem formy — wzorowe. Świetny, lecz nieujawniony autor zdołał z najeżonego cyframi materiału urzędowego i pomimo monotonii tematu skomponować opowiadanie, pełne dramatycznego napięcia.

Ujęcie jest typowo sprawozdawcze. Wyciąga nie wiele wniosków, unika konkluzji i ogólnej analizy całości działań, być może by nie postawić się w sprzeczności z materiałem i oświetleniem, których należy się jeszcze spodziewać przede wszystkim od Niemców, a także od Amerykanów i Japończyków.

Pierwszym z tych pominięć wydaje się brak omówienia istoty tych gigantycznych zmagań, stanowiących stałe tło Drugiej Wojny Światowej w ciągu długich 68 miesięcy. Z analizy wynika, że miano Bitwy Atlantyckiej, pod jakim przeszły do historii, nie jest błędne, ale jest nie zupełnie wyczerpujące. Główne cechy tych działań odpowiadają na ogół pojęciu "bitwy". Były one bowiem pod względem czasu — nieprzerwane, nie znające zastojów, ani podziału na kampanie; pod względem przestrzeni — traktowane jako toczące się na jednym tylko teatrze wojennym, pomimo że rozgrywały się na wszystkich niemal morzach świata; pod względem organizacji — kierowane z centralnych ośrodków obu stron walczących. Mimo tego jednak wydaje się, że odpowiedniejszą nazwą dla tych działań byłoby pojęcie Frontu Atlantyckiego, jako szersze i wnikające w sedno sprawy.

Niemcom chodziło o przecięcie morskich arterii komunikacyjnych W. Brytanii, stanowiących system krwionośny nie tylko Wspólnoty Narodów Brytyjskich i Anglosaskich, ale i całej wojny. W razie powodzenia sprowadziliby głód na Wyspy Brytyjskie i unieruchomili zachodnie siły zbrojne dla braku paliwa. Przekreśliłoby to było wszelkie możliwości zwrotu ofensywnego Anglosasów przeciw kontynentowi Europy i rozwiązałoby Niemcom ręce na wschodzie. Stawka walki morsko-powietrznej była zatem olbrzymia. Niemcy znaleźli się o krok od wygrania zarówno jej, jak i w związku z tym — od osiągnięcia panowania nad światem. Jeszcze w dobie zwycięstwa aliantów niemiecki potencjał podwodny i wola walki nie były wyczerpane. W razie przedłużenia się wojny niemiecka flota podwodna miała szanse na znaczną poprawę jakościową a nawet na rozrost ilościowy.

Dlatego należałoby mówić raczej o Froncie Atlantyckim. Został on otwarty na Zachodzie na długo przed wszczęciem agitacji sowieckiej za zmontowaniem "drugiego frontu". Krwawe ofiary, ponoszone na nim w tym czasie gdy

---

*) *The Battle of the Atlantic. The Official Account of the Fight against the U-boats*, 1939-1945. London, H.M. Stationery Office. Stron 104. 8 szkiców w tekście.

Rosjanie byli jeszcze cichymi sprzymierzeńcami Niemców, umożliwiły nie tylko późniejsze działania ofensywne na kontynent, ale również dostarczenie Rosji ogromnych ilości zaopatrzenia i sprzętu, w tym przede wszystkim samochodów. Pozwoliło to Czerwonej Armii na okrzepnięcie w obronie, a potem na przejście do ofensywy pomimo zniszczenia komunikacji kolejowych.

Ogółem do Murmańska i Archangielska alianci od sierpnia 1941 r. wysłali w konwojach 775 statków, wiozących 4 miliony ton ładunku. Z tej liczby 78 statków zatopili Niemcy, nie licząc strat w okrętach konwojujących. Sprawozdanie brytyjskie nie precyzuje tych ostatnich. Udział w nich dla szczupłej marynarki polskiej był duży: 2 maja 1942 r. straciliśmy okręt podwodny *Jastrząb*, uszkodzony bombami głębinowymi, a następnie zatopiony podczas operacji osłaniającej konwój do Rosji; rozbitków, za wyjątkiem 3 marynarzy, którzy zginęli, wyratowały okręty brytyjskie. W trzy tygodnie później (27 maja) pod Murmańskiem spłynął krwią pokład kontrtorpedowca *Garland*, poważnie uszkodzonego bliskimi wybuchami bomb lotniczych; zginęło wówczas 25 marynarzy z jego załogi. Praca w konwojach do Rosji była najcięższym zadaniem dla flot alianckich. W zimie ciemności i mrozy, w lecie znów zupełny brak nocy, a w ciągu całego roku bliskość niemieckich baz powietrznych na wybrzeżach Norwegii — niezmiernie utrudniały operacje konwojowe i wyczerpywały załogi. Ratowanie rozbitków na wodach arktycznych było z reguły niemożliwe.

Inicjatywa działań na Froncie Atlantyckim w ciągu dwuch trzecich całej wojny należała do Niemców. Wysiłek ich skupiał się na niszczeniu transportu morskiego (*essential shipping*) aliantów, za pomocą walki okrętów podwodnych i od czasu do czasu nawodnych (*raiders*), oraz lotnictwa, a także za pomocą stawiania min przez lotnictwo i okręty.

Okręty podwodne, najbardziej skuteczne, zadały 69% strat, zatapiając 2275 statków alianckich (14½ miliona ton), po nich lotnictwo niemieckie — 13%, następnie okręty nawodne i miny nieprzyjaciela po 7%, wreszcie przyczyny różne — 4%. Pod względem przestrzennym — 64% strat ogólnych pochłonął północny i południowy Atlantyk; pod względem narodowości — 54% strat ogólnych poniosła marynarka handlowa brytyjska.

Użycie operacyjne broni podwodnej przez Niemców było zręczne i elastyczne. Polegało na rzucaniu głównych sił podwodnych w najsłabsze miejsca aliantów, co powodowało częste pękanie systemu obronnego, napięcie i bez tych zaskoczeń do stanu ostatecznej wytrzymałości. Przewidywanie uderzeń niemieckich było niemożliwe, skoro niemal wszystkie morza globu wchodziły w grę i gdy okręty podwodne niemieckie były niemal praktycznie nieskrępowane w zasięgu i czasie pływania. Dla broniącego się walka toczona była w ciemnościach, podczas gdy atakujący miał wzrok wyostrzony, zyskując przez to dużą przewagę.

Rzecz charakterystyczna, że przewaga odnosiła się przede wszystkim do ruchów flot handlowych, nie zaś do operacji morsko-lądowych (amfibijnych), które z reguły zaskakiwały Niemców. I tak: przewóz z Dunkierki, lądowanie alianckie w Afryce Północnej, pod Anzio, wreszcie we Francji — odbyły się niemal bez strat dla tonażu sojuszników, pomimo użycia w nich setek i tysięcy jednostek pływających.

Pomyślny przebieg tych operacji powodował z drugiej strony — na zasadzie prawa "krótkiej kołdry" — równoczesne zwiększenie strat na innych morzach wskutek czasowego zredukowania na nich sił obrony.

Taktyka obrony polegała przede wszystkim na zorganizowaniu systemu konwojowego, który został uruchomiony już od początku zmagań, co było dużym sukcesem w porównaniu do rozwiązania tego zagadnienia w czasie Pierwszej Wojny Światowej, kiedy konwoje wprowadzono dopiero w trzecim roku wojny (w maju 1917 r.) Ochrona ta była bardzo skuteczna, skoro z konwojowanych statków zginęło 574 (tj. 1 na 131 płynących w konwoju) — z ogólnej ilości 4786 statków straconych w ciągu całej wojny (21 milionów ton). Niestety, pomimo wzrastającej pomocy amerykańskiej, wciąż brakowało dostatecznej ilości środków do zapewnienia właściwej siły konwojom. Ruch morski był olbrzymi, zdarzało się często, że nie mniej jak 700 statków płynęło równocześnie po różnych morzach.

Drugim sposobem obrony, który nie zdążył jeszcze znaleźć zastosowania w Pierwszej Wojnie Światowej, było lotnictwo. Ale rozwijało się ono stosunkowo powoli zarówno pod względem technicznym jak ilościowym, co opóźniło jego skuteczną działalność. Gdy jednak weszło w pełni w grę — okazało ogromną potęgę, stało się postrachem okrętów podwodnych, zmieniło charakter działań z wyłącznie morskich na morsko-powietrzne i wreszcie przechyliło szalę zwycięstwa na korzyść sprzymierzonych. Skuteczność zwalczania okrętów podwodnych przez lotnictwo była identyczna ze skutecznością walki z nimi jednostek pływających. Z ogólnej ilości okrętów podwodnych nieprzyjaciela zatopionych w walce (635) — lotnictwo bazowane na lądzie ma na sumieniu 265½, marynarka tyleż; może nawet lotnictwo było skuteczniejsze, jeśli na jego rachunek policzyć część (nie określoną w sprawozdaniu) zatopień (104) spowodowanych łącznie przez samoloty z lotniskowców, okręty podwodne i miny. Wreszcie jeżeli dodać na korzyść lotnictwa 63 łodzie podwodne (niezaliczone do poprzedniej ilości, "zatopionych w walce"), zniszczone w portach i dokach przez lotnictwo podczas rajdów "lądowych", — to potęga tej nowej broni zaznaczy się jeszcze bardziej. Najwięcej zasłużyła się na Froncie Atlantyckim część lotnictwa specjalnego: *Coastal Command*, podporządkowana Admiralicji na wiosnę 1941 roku. Jej samoloty odbyły ogółem 120.000 lotów w ciągu 850.000 godzin lotu.

Technika walki z przeciwnikiem podwodnym usprawniała się stopniowo; coraz to inne wynalazki dostawały się do rąk wykonawców: asdic (aparat wykrywający obecność okrętów podwodnych); radar; sieci, chroniące statki od torped; rakiety, dające moc milionów świec; bomby głębinowe wciąż potężniejsze i skuteczniejsze.

Innymi środkami obrony było stawianie min przez marynarkę i lotnictwo (położono ich ogółem 260.000), bombardowanie przemysłu niemieckiego, wreszcie stałe dążenie do odebrania Niemcom ich baz morskich. Dwa ostatnie zadania łączyły się już z zagadnieniami innych frontów tej wojny.

Organizacja kierowania działaniami na froncie morsko-powietrznym po stronie obrony była zadaniem niezwykle trudnym, zwłaszcza pod względem koordynacji działań lotnictwa i marynarki wielu narodów. Zagadnienia tej dziedziny musiały opierać się z tego powodu o szczebel najwyższy, t.j. Churchilla i Roosevelta. Od końca 1942 roku organem ich dowodzenia na tym froncie był komitet przeciwpodwodny (*Anti U-Boat Committee*), wspierany doraźnie przez specjalne konferencje międzyalianckie (oczywiście bez udziału Rosji), jak n.p. *Atlantic Convoy Conference* na wiosnę 1943 w Waszyngtonie. Zadaniem jej było znalezienie sposobu dla pokrycia dozorem lotniczym obszaru na środkowym Atlantyku, pozostającego dotychczas poza zasięgiem samolotów. Konferencja rozwiązała ten problem przez zorganizowanie dozoru na zasadzie wahadłowej (*shuttle service*) pomiędzy Wyspami Brytyjskimi, Islandią i Nową Fundlandią i przez odpowiedni rozdział sił lotniczych.

Przebieg walki na Froncie Atlantyckim dzieli się w najgrubszym zarysie na dwie części: pierwszą obejmującą, jak wspomniano, 45 miesięcy nieprzerwanej ofensywy podwodnej Niemców (od września 1939 r. do końca maja 1943 roku), i drugą, trwającą 23 miesiące do końca wojny, w ciągu której Niemcy stracili inicjatywę i znaleźli się na drodze ku klęsce.

Przesilenie na Froncie Atlantyckim było ostatecznym przypieczętowaniem ogólnej przemiany wojennej na korzyść sprzymierzonych, których ogromna przewaga zaznaczyła się już od jesieni 1942 r. Zaczęło świtać zwycięstwo a Karta Atlantycka otwierała nową wiosnę narodów. Ale zorze wkrótce gasły, przesłonięte przez dźwigającą się Rosję.

Część pierwszą działań rozbija sprawozdanie brytyjskie na pięć faz, które charakteryzuje w sposób następujący :—

1. Do upadku Francji (czerwiec 1940 r.) System konwojów i dozoru lotniczego dopiero w zaczątku; Niemcy zbierają bezkarnie obfite żniwo u zachodnich dostępów do W. Brytanii; zyskują bazy powietrzne i morskie we Francji i Norwegii; po powaleniu Francji zdobywają sekret "asdic'u".
2. Do rozpoczęcia ekspansji niemieckiej na Bałkany (wiosna 1941 r.) i uderzenia na Rosję. Rozzuchwaleni Niemcy atakują na powierzchni ogniem artyleryjskim, oszczędzając torpedy; rozbijają w strzępy wiele konwojów; pancernik niemiecki *Admiral Scheer* grasuje po morzach niemal przez pół roku, zatapiając 16 statków (ogólnej wyporności 99.000 ton); wybitni dowódcy niemieckich okrętów podwodnych: Prien, Kretschmer, Schepke dochodzą do rekordowej cyfry 200.000 ton zatopionych każdy (pod koniec tej fazy wszyscy trzej giną z rąk aliantów); cmentarzysko zatopionych statków rozszerza się na południe Atlantyku aż po Dakar; Amerykanie śpieszą z pomocą wypożyczając 50 destroyerów.
3. Do wejścia Stanów Zjednoczonych do wojny (grudzień 1941 r.). Pobojowisko alianckich flot handlowych rozciąga się od Grenlandii aż po Dakar; kilkanaście ofiar pada przy brzegach Kanady: Niemcy przeżywają chwilowy kryzys "rozwodnienia" (*dilution*) doświadczonych załóg z powodu szybkiego wprowadzania w akcję coraz większej ilości okrętów podwodnych; zachodzą pierwsze wypadki wzięcia do niewoli okrętów podwodnych niemieckich.
4. Do wznowienia ofensywy niemieckiej w Rosji (czerwiec 1942). Wschodnie wybrzeża Kanady, Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Wenezueli, Zatoka Meksykańska i Morze Karaibskie stają się terenem rzezi statków amerykańskich, niechronionych jeszcze przez konwoje; ginie 495 statków, w tym 142 tankowców ropy; pierwsza jaskółka nadchodzącej przemiany: *Coastal Command* usprawnia działalność; gdy od początku wojny do maja 1942 r. samoloty zdołały zniszczyć wszystkiego 9 okrętów podwodnych, to od tej pory do końca wojny zatopią ponad 200.
5. Do likwidacji sił Osi w Afryce Płn. (maj 1943). Kulminacyjny okres wojny; na jesieni 1942 r. przesila się potęga

lądowa Niemców; ich szczytowa ekspansja w Afryce kończy się w bitwie pod El-Alamein; w Rosji pod Stalingradem; Niemcy tracą serce również na morzu; na wiosnę 1943 r. inicjatywa na Froncie Atlantyckim przechodzi do aliantów, którzy wypierają Niemców z północnego Atlantyku.

W trzech końcowych fazach zmagań atlantyckich (6. faza — do kapitulacji Włoch, jesień 1943 r.; 7. faza — do decyzji Anglosasów uderzenia na kontynent, wiosna 1944 r.; 8. faza — do końca wojny, maj 1945 r.) — ilość zatapiań statków alianckich gwałtownie maleje, a wzrasta niszczenie niemieckich okrętów podwodnych; mapa mórz pokrywa się krzyżykami, znaczącymi zatopienia podwodniaków; największe ich skupienia, prawdziwe cmentarze, rosną kolejno na obszarze Zatoki Biskajskiej, potem na Atlantyku, wreszcie wokół wybrzeży W. Brytanii. Od sierpnia 1943 roku tempo zatapiania niemieckich okrętów podwodnych jest większe od ich produkcji. Niemcy nie ośmielają się już przedsiębrać ataków większymi siłami. W okresie od września do grudnia 1943 roku w ciągu 122 dni giną 64 niemieckie okręty podwodne, to jest jeden co drugi dzień. Jednak jeszcze w kwietniu 1945 r. Niemcy mieli na morzach ogromną ilość 72 działających okrętów podwodnych.

Do tego okresu należy też jedyna wzmianka sprawozdania brytyjskiego o udziale Polaków (str. 78). "W dniach 8 i 9 października 1943 r. jeden z naszych konwojów, powracających do bazy, został zaatakowany przez około 15 okrętów podwodnych. Zatopiły one jeden statek handlowy oraz polski kontrtorpedowiec *Orkan*, dowodzony przez bohaterskiego komandora Hryniewieckiego, który zginął. Strata tego okrętu i jego dowódcy była ciężkim ciosem dla Marynarki Polskiej i dla tych, z którymi *Orkan* współpracował".

Piękną tę wzmiankę należy uzupełnić przypominając, że *ORP Orkan* został trafiony torpedą i w cztery minuty później zatonął, objęty płomieniami palącej się ropy. Zginęło wraz z nim 10 oficerów oraz 168 podoficerów i marynarzy.

Trzeba dodać jednak, że broszura brytyjska w wielu miejscach podkreśla udział sił morskich i powietrznych wszystkich aliantów, którzy brali udział w walkach na froncie atlantyckim. "Zwycięstwo na Atlantyku — mówi ona — odniosły Narody Zjednoczone".

Spośród nich największe oczywiście straty poniosła Brytyjska Wspólnota Narodów. Zginęło w ciągu wojny 30.000 personelu marynarki handlowej oraz 4.000 ludzi obsługi broni przeciwpodwodnych, nie licząc strat marynarki wojennej.

Flota podwodna państw Osi (bez Japonii) zapłaciła za to zniszczeniem, wzięciem do niewoli, samozatopieniem, bądź wreszcie unicestwieniem z innych przyczyn — ogólną cyfrą 1287 okrętów.

Udział naszych sił morskich i powietrznych w walkach na Froncie Atlantyckim oczekuje jeszcze opisu, który oby jak najprędzej się ukazał. Z danych dotychczas dostępnych wiadomo, że obie te części sił zbrojnych zmniejszyły flotę wroga o wiecej niż trzydzieści okrętów podwodnych i 356 jednostek nawodnych wszelkiego typu.

Marynarka nasza w okresie od przybycia do W. Brytanii do końca wojny współdziałała w ochronie blisko 100 konwojów, atakując niemieckie okręty podwodne przeszło 200 razy i przepływając w różnych operacjach znacznie ponad milion mil morskich. Straciła w walkach ogółem 23 oficerów i 381 marynarzy oraz 5 okrętów; w tych liczbach poniosła blisko połowę ofiar bezpośrednio na rzecz pomocy Rosji.

Porównanie niektórych danych ze zmagań o morskie linie życiowe W. Brytanii w czasie obu wojen światowych wykazuje, że w wojnie ostatniej tempo ponoszenia strat przez sojuszników w statkach handlowych było więcej niż o połowę wolniejsze (40 zatopień przeciętnie miesięcznie), niż w wojnie poprzedniej (95 zatopień); jednak ogólny tonaż stracony w latach 1914-18 wyniósł nieco ponad 11 milionów ton, gdy ostatnio 14½ milionów ton. Różnica ta tłumaczy się z jednej strony wcześniejszym wprowadzeniem systemu konwojowego i potężnego lotnictwa w wojnie 1939-45, z drugiej strony mniejszym przeciętnym tonażem statków handlowych w Pierwszej Wojnie Światowej. Natomiast przeciętne tempo miesięczne strat w tonażu statków było w obu wojnach światowych niemal to samo, wynosząc około 215.000 ton miesięcznie. Analiza powyższych danych i wyciągnięcie z nich wniosków ogólnych przyniosłoby niewątpliwie ciekawe wnioski.

T. WASILEWSKI

UWAGI

EPILOG JAŁTAŃSKICH OBIETNIC

Kto bacznie obserwował taktykę mocarstw anglosaskich, wyrażającą się w ostatnim okresie nową falą nastrojów "appeaserskich", nie mógł spodziewać się silniejszej reakcji na maskaradę "wyborczą" w Polsce — reakcji, która byłaby zdolna doprowadzić do rzeczywistej zmiany stosunków w naszym kraju. Niemniej stwierdzić musimy, że zachowanie się obu mocarstw anglosaskich w tej sprawie przeszło oczekiwania najgorszych pesymistów.

Prawda, że korespondenci brytyjscy i amerykańscy niemal jednomyślnie stwierdzili fakt brutalnego sfałszowania wyborów i przytoczyli z tego okresu wiele aż nadto wymownych przykładów. Równocześnie jednak w dwóch głownych pismach, zajmujących się polityką zagraniczną. *Times'ie* i *Manchester Guardian*, pojawiły się znamienne zwroty o "gospodarczych dokonaniach" reżimu warszawskiego (jak gdyby przy normalnym, prawowitym rządzie polskim odbudowa kraju nie uczyniłaby już bez porównania większych postępów) oraz sugestie, że przecież w obecnych warunkach inny rząd w Polsce jest niemożliwy.

Komentarz szczególnie znamienny dla kryteriów, jakie stosowane są obecnie w stosunkach międzynarodowych, ogłosił znany tygodnik londyński *The Economist* w numerze z dn. 25 stycznia. Swe długie i bardzo jednostronne wywody autor artykułu zakończył konkluzją, że gdyby brać pod uwagę względy moralne to należałoby cofnąć uznanie rządowi warszawskiemu, — ponieważ jednak wiele wskazuje na to, iż decyzje jałtańskie nie były traktowane na serio przez układające się mocarstwa i posłużyły tylko jako *face-saver* ("ochraniacz twarzy", t.j. prestiżu), przeto konieczność taka nie zachodzi. W rezultacie *Economist* sugeruje — bliższe jeszcze zacieśnienie stosunków z administracją warszawską.

Po podobnej linii, choć z odmiennym uzasadnieniem, szedł komentarz, jaki "wyborom" w Polsce poświęciło B.B.C. w wieczornej swej audycji w dniu 23 stycznia, która wywołała tak silne, a uzasadnione rozgoryczenie wśród Polaków. Pierwsza część audycji podkreślała fakt całkowitego sfałszowania wyborów, druga — fakt ten w pewnym stopniu łagodziła i usprawiedliwiała, używając przy tym pod adresem narodu polskiego zwrotów co najmniej nieoczekiwanych. Usłyszeliśmy więc m.i. stary "argument" hakatystów i szowinistów pruskich o chronicznej jakoby "niezdolności" Polaków do rządzenia się, oraz nowszej daty slogan propagandy komunistycznej, jakoby rząd Bieruta i Osóbki był pierwszym rządem polskim, w którego składzie znaleźli się chłopi i robotnicy. Wspomniana audycja B.B.C. — instytucji tak skąd inąd zasłużonej, zwłaszcza w czasie wojny, — nie była doprawdy wzorem metod demokratycznych w propagandzie.

Nasi brytyjscy — a z pewnością i amerykańscy — przyjaciele robili wszystko, by wpłynąć na należyte postawienie sprawy polskiej. Świadczą o tym głosy tych pism brytyjskich i amerykańskich, które bronią wolności narodów i zasad słuszności w polityce międzynarodowej. Tym ludziom oświadczenia rządów obu mocarstw anglosaskich musiały przynieść głębokie rozczarowanie.

Pierwszy odezwał się w dniu 28 stycznia, a więc w dziewięć dni po wyborach, Departament Stanu w Waszyngtonie. Rzecznik jego oświadczył, że zdaniem rządu amerykańskiego uroczyste zobowiązania, płynące z umowy krymskiej i układu poczdamskiego, nie zostały dotrzymane, ale że rząd amerykański nie rozważa możliwości zerwania stosunków dyplomatycznych z reżimem warszawskim, choć "zatrzymuje pełną wolność określenia swego przyszłego stanowiska" wobec tego reżimu. Dnia następnego przywódca Partii Republikańskiej w sprawach polityki zagranicznej, sen. Vandenberg, przemawiając w Senacie scharakteryzował "wybory" w Polsce jako "złośliwą parodię wolności i zwyczajów demokratycznych" i podkreślił konieczność "podjęcia bardziej zdecydowanej akcji", — lecz w konkluzji oświadczył, że inicjatywę w tej sprawie pozostawia Departamentowi Stanu. Wreszcie oświadczenie prezydenta Trumana z dnia 4 lutego, skierowane do nowego przedstawiciela rządu warszawskiego, trzymało się w granicach stwierdzeń Departamentu Stanu, t.j. nie zawierało zapowiedzi żadnej konkretnej akcji, — czy to w postaci cofnięcia uznania administracji warszawskiej, czy przekazania sprawy pod łączne obrady sygnatariuszy Jałty, czy też wytoczenia jej na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Było ono bądź co bądź nieco silniejsze w tonie niż oświadczenie, złożone w Izbie Gmin w dniu 3 lutego przez przedstawiciala rządu brytyjskiego w odpowiedzi na zapytania kilku posłów. Stanowisko brytyjskie, wyrażone w tym oświadczeniu, poszło istotnie bardzo daleko w niewyciąganiu żadnych istotnych konsekwencji ze złamania zobowiązań w sprawie wyborów. Mówiąc mianowicie o nieudałej interwencji brytyjskiej w Moskwie w dn. 11 stycznia i o odpowiedzi Mołotowa, przedstawiciel rzadu brytyjskiego podkreślił, iż choć min. Bevin nie godzi się ze stanowiskiem Mołotowa, jednak uważa, że dalsze kroki w Moskwie w tym zakresie są bezcelowe (*useless*).

W ten sposób rząd brytyjski dał do poznania, że nie ma zamiaru wywierać żadnego poważniejszego nacisku na Sowiety, zwrot zaś później użyty, iż dalsze stanowisko brytyjskie "uzależnione będzie od kroków, jakie poczyni nowy rząd polski", świadczy, iż także w stosunku do administracji warszawskiej żadne poważne konsekwencje wyciągnięte w obecnym okresie nie będą.

Mało przekonywająco w związku z tym brzmi stwierdzenie, iż rząd brytyjski uczynił

wszystko, aby doprowadzić do wykonania zobowiązań jałtańskich. Zdaniem naszym właśnie słaba postawa czynników oficjalnych i prasy krajów anglosaskich (zwłaszcza W. Brytanii), szczególnie zaś brak jakiejkolwiek konkretnej groźby na wypadek nie wypełnienia zobowiązań wyborczych wpłynęły bardzo wydatnie na to, że Moskwa i kierowany przez nią rząd Bieruta i Gomółki zdecydowały się tak właśnie wybory w Polsce przeprowadzić. Stwierdzili to jeszcze przed dniem 19 stycznia niektórzy korespondenci prasy amerykańskiej (np. Sydney Gruson z *New York Times*'a).

Również trudno uznać za przekonywający argument, użyty w niektórych pismach amerykańskich na uzasadnienie dalszego uznawania reżimu warszawskiego przez rząd Stanów Zjednoczonych; przyczyną tego stanowiska ma być, wedle tych pism, obawa przed głębszym jeszcze wepchnięciem Polski za "żelazną kurtynę". Jest rzeczą jasną, że sama odmowa uznania rządu, wyłonionego na podstawie "wyborów" z dnia 19 stycznia rb., powinna być tylko częścią reakcji na to, co zaszło. Już same decyzje jałtańskie i poczdamskie, nigdy przez naród polski nie przyjęte ani w tym zakresie, ani w postanowieniu oderwania od Polski jej ziem wschodnich, wyłączały możliwość naprawdę wolnych wyborów. Skoro jednak nawet w tych swoich skromnych granicach nie zostały one wykonane, sprawa polska automatycznie winna powrócić na forum międzynarodowe i być rozstrzygnięta w sposób zgodny z wolą narodu polskiego i zasadami słuszności.

Nic jednak w obecnym stadium sytuacji międzynarodowej nie wskazuje na to, by mocarstwa zachodnie właśnie tak zamierzały postąpić. Oglądamy epilog układu międzynarodowego, zawartego w Jałcie w dniu 12 lutego 1945 r. i powtórzonego później w Poczdamie w sierpniu tegoż roku. Wydarzenia ostatnich trzech lat, poczynając od konferencji w Teheranie, stanowią klęskę nie tylko Polski, wobec której nie zostało dotrzymane żadne z głównych uroczystych zobowiązań i która w wyniku tego pozbawiona została niepodległości oraz wielkiej części swego historycznego dziedzictwa. Wydarzenia te są klęską dla całego świata zachodniego — dla Wielkiej Brytanii w szczególnej mierze —, który nie będzie się mógł uchronić od ich nieuniknionych, złowrogich następstw.

BILANS TRAGICZNEGO BŁĘDU

Dzień 19 stycznia zamknął jeden szczególnie ważny okres walki, jaką Polska — znów samotnie — toczy o życie własnego narodu, o przyszłość wolnego człowieka. Dzień ten bowiem jest jaskrawym bilansem tragicznego błędu, który leżał u podstaw decyzji Mikołajczyka w jego próbie pogodzenia nie dających się pogodzić sprzeczności. Były nimi od początku ostatniej wojny: cele narodu polskiego i cele sowieckiego imperializmu, skierowanego w pierwszym rzędzie właśnie w najważniejszą bramę na Zachód Europy — w Polskę, a z nią we wszystko, co tej Europy i świata zachodniego jest treścią istotną. Dla nas, Polaków, kwestia kompromisu z bojowym imperializmem Rosji Sowieckiej nie była sprawą "nabrania oddechu", polityki przeczekania, możliwością ratowania biologicznych sił społecznych. Byliśmy świadomi tego przede wszystkim, że idzie właśnie o eliminację tych sił, że "polskie Monachium" — Jałta i Poczdam — przyniosą nam i nie tylko nam logiczne konsekwencje Monachium z roku 1938.

Te właśnie przyczyny skłoniły naród polski do bezwzględnego oporu, a niezależną politykę polską do działania przeciwko wcześnie zrodzonemu składaniu broni i rzuceniu nas za żelazną obręcz panowania Sowietów — Politbiura, NKWD, "spontanicznych wyborów" i.t.d.

Zarówno kraj, jak i świadoma dramatu polityka polska poza granicami kraju przedstawiała Mikołajczykowi w sposób nie pozostawiający wątpliwości konsekwencje jego stanowiska. Wiele czynników złożyło się na to, że Mikołajczyk postanowił trzymać się kurczowo powziętych decyzji. Znaczną część tych pobudek wytłumaczyć może jedynie i tylko — psychologia.

Zrozumienie sytuacji, jej powaga i groźba — wyłączyły Mikołajczyka poza nawias oficjalnego stanowiska jako reprezentanta interesów Polski. Nastąpiła zmiana rządu, powołanego w celu prowadzenia dalszej nieustępliwej walki o życiowe cele Polski. Mikołajczyk postanowił działać na marginesie, w oparciu już tylko o zaufanie czynników, które uznały swoją bezsilność w sprawie polskiej w dotrzymaniu układów i gwarancji. Osoba byłego premiera posłużyła tym czynnikom za wygodny i trudny gdzie indziej do znalezienia parawan, osłaniający odwrót z odcinka polskiego Drugiej Wojny Światowej.

Poprzednia obecność Mikołajczyka w oficjalnej polityce polskiej została wykorzystana jako dalsza jego reprezentatywność aspiracji naszego narodu. Wystarczająco niemoralny fakt wycofania uznania najwierniejszemu aliantowi — prawowitemu rządowi polskiemu w Londynie — został stanowiskiem byłego premiera oraz zapomocą odpowiedniej propagandy stuszowany w oczach i umysłach społeczeństw zachodnich. Wycieczki Mikołajczyka do Moskwy były anonsowane jako spotkania "londyńskich Polaków" z Polakami z Kraju i z Moskwy. Dla opinii, zmęczonej wojną i podświadomie szukającej ucieczki przed odpowiedzialnością, wystarczyło, że są tam "londyńscy Polacy", a więc ci sami, co to przez najcięższe lata byli pierwsi we wspólnym szeregu. Taka sama reklama zastosowana została przez stronę moskiewską. W ten sposób nie tylko inne społeczeństwa, lecz także i polskie próbowano zdezorientować w kwestii zasadniczej: kto bierze odpowiedzialność za losy Polski. Dezorientację tę podtrzymywał sam Mikołajczyk, który — wróciwszy do Polski — przyjmował dla siebie część entuzjazmu mas, wyrażanego pod adresem prawdziwych obrońców wolności Rzeczypospolitej — legalnych władz w Londynie i bohaterskiego żołnierza polskiego. Bilans tej mistyfikacji jest smutny nie tylko dla samego Mikołajczyka. Okres przedwyborczy i dzień wyborów przerzucił go z powrotem, wbrew jego całej linii politycznej i wbrew intencjom, do obozu "reakcji", "londyńczyków" i.t.p., z którymi naprawdę nie miał nic wspólnego od czasu wkroczenia na drogę poddania się polityce przemocy.

Niezależna polityka polska może wybaczyć wiele różnic i linii podziału — prócz tej jednej, przekreślającej kardynalną jej cechę — niezależność.

Utarło się mniemanie, że w działaniu politycznym należy wyzbyć się "przesądów" moralności, przyjąć za jedyną normę bieżącą rację stanu, pojętą doraźnie. Przesądów takich na pewno nie miał expremier Rządu Polskiego Stanisław Mikołajczyk, gdy w sąsiedztwie sal konferencyjnych w Moskwie, na innej sali, sądowej, skazywano ludzi, działających w myśl jego poprzednich instrukcji jako premiera rządu. Skończyli się po prostu — mogli odejść, choćby do więzień bezterminowych. Ta moralna klęska nie jest bynajmniej najmniejszym z długiego szeregu powikłań w działaniu Mikołajczyka. Była to pierwsza, obrażająca naród nasz skaza w dotychczas niezłomnej postawie Polaków.

Sama zaś doraźna racja stanu, wyłożona jako obrona biologicznych sił narodu, jako budowanie Polski w Kraju — zamknięta została także 19 stycznia tragicznym rezultatem. Jest nim ujawnienie przed aparatem przeznaczonym do wyniszczenia narodu żywotnych jego sił, wsi polskiej, płacącej nie tylko ruiną gospodarczą, lecz właśnie i przede wszystkim krwią i zdrowiem za błędy prezesa P.S.L.-u. Efekt? 6% miejsc w sejmie, będącym posłusznym narzędziem pp. Radkiewicza i Bermana, Bieruta i Gomułki. Reprezentacja jakże tragiczna, opłacona znów nieproporcjonalnymi stratami. Rosja Sowiecka, wcielająca wprost połowę Polski — na co także Mikołajczyk położył swą zgodę — przeszła do porządku nad pokazową "opozycją" polityki Mikołajczyka. Rosja dalej robi swoje — systematycznie wchłania organizm polski w przepastne wnętrze bolszewickiego ładu, łamie ten organizm w miejscach najbardziej opornych i wciąga do mechanizmu, którego cele powoli stają się jasne nie tylko nam, Polakom, lecz całemu światu, pragnącemu oddychać wolnością. Komunistyczni reprezentaci podbitej Polski są gorliwymi rzecznikami tych celów na arenie międzynarodowej.

Osamotniony i zużyty w ciągu półtora roku polityk błędów zasadniczych jest dziś może interesującą postacią psychologiczną, czy tematem literackim. Dla historii walczącego narodu jest nieszczęściem. Jednym z wielu — ale nie najmniejszym.

GŁOS NARODU

Polska pod okupacją nie ma w obecnej chwili żadnych możliwości wypowiedzenia na zewnątrz swego zdania w sprawie tego, co okupanci nazwali "wyborami do sejmu." W tym właśnie czasie, gdy słowa te piszemy, odbywa się dalszy ciąg ponurej sztuki: "otwiera się parlament," "wybiera się prezydenta państwa"; "prezydent" ten ma jechać w asyście szwoleżerów, składać przysięgę, w której wzywa Boga na pomoc. Coś podobnego działo się tylko za czasów t.zw. Generalnej Gubernii, kiedy to na Wawelu Hans Frank urządzał "ludowe uroczystości" polskich dożynek spędzając poprzebieranych w stroje regionalne "volksdeutschów".

W warunkach całkowitego zakneblowania ust narodowi polskiemu w kraju, wolna część społeczeństwa i jego czynniki kierownicze na emigracji opublikowały stanowisko Polski w jej walce o wolność. Kierownicze koła polskie w Londynie złożyły oświadczenie, podane przez polską prasę codzienną, dotyczące sfałszowanych wyborów. Oświadczenie to przypomina, że prawowity Rząd Polski w proteście ogłoszonym nazajutrz po konferencji jałtańskiej ostrzegł mocarstwa, iż powierzenie

wyborów t.zw. "rządowi jedności narodowej" nie da narodowi polskiemu możności swobodnego wypowiedzenia swej woli. Oświadczenie z 24 stycznia b.r. podaje krótkie streszczenie rezultatów umowy jałtańskiej i poczdamskiej, oraz — w odniesieniu do niedawno odbytych "wyborów" — stwierdza: niedopuszczenie w Polsce do życia politycznego stronnictw niezależnych, terror ze strony reżimu, złamanie przez administrację warszawską układu jałtańskiego, będącego jedynym parawanem dla międzynarodowej polityki przemocy wobec Polski. Jako logiczna konsekwencja tych zjawisk wysuwa się konieczność nieuznania "rządu," opartego na "wyborach" z dn. 19 stycznia b.r., oraz danie możności narodowi polskiemu wypowiedzenia swej prawdziwej woli w postaci naprawdę wolnych i nieskrępowanych wyborów, przeprowadzonych w warunkach pełnej wolności całej Polski, t.j. po zniesieniu wojskowej, policyjnej i administracyjnej okupacji, po przywróceniu praworządności i swobód obywatelskich.

Te same przesłanki towarzyszą pismu, jakie Rada Polskich Stronnictw Politycznych wysłała w dn. 29 stycznia b.r. na ręce ministra E. Bevina i gen. G. C. Marshall'a w sprawie t.zw. wyborów w Polsce. W piśmie tym Rada Polskich Stronnictw Politycznych kładzie nacisk na podeptanie zasad wolności, praw człowieka i obywatela, będących kamieniem węgielnym istnienia ONZ. Pismo R.P.S.P. domaga się nieuznawania ani rządu ani sejmu wyłonionych ze sfałszowanych wyborów. Sankcjonowanie porządku, jaki powstanie w wyniku "wyborów", jest dalszym podkopywaniem zasad, na których opiera się Zachód, jest dowodem opuszczenia przez demokracje zachodnie 100-milionowej rodziny narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Dwie przytoczone przez nas wypowiedzi — są głosem okupowanej Polski, której naród mimo terroru fizycznego i psychicznego dalej walczy i wierzy w zwycięstwo.

MOSKWA, LONDYN I WASZYNGTON

Kierunki i intencje polityki rosyjskiej w jej rozgrywce z mocarstwami anglosaskimi zarysowują się coraz wyraźniej. Moskwa chce na okres obecny pokoju, pragnie uniknąć ostrzejszych starć — równocześnie jednak zabiega nie tylko o zachowanie i umocnienie dotychczasowych zdobyczy, ale także o gromadzenie nowych atutów, o oczyszczanie pola dla dalszej akcji. Duży wysiłek wkłada także, jak zawsze, w oddziaływanie na politykę zarówno mocarstw anglosaskich, jak innych krajów, pozostających poza obrębem strefy sowieckiej, — od wewnątrz, przez partie komunistyczne i różne czynniki, idące z tych czy innych względów na rękę jej polityce.

Wszystkie te elementy ujawniły się szczególnie wyraźnie w ostatnich posunięciach polityki sowieckiej wobec Wielkiej Brytanii. O ile poprzednio widoczna była chęć wbijania klina między Londyn a Waszyngton przez dyplomatyczne kokietowanie Ameryki — otyle obecnie rzecz ma się w pewnym sensie odwrotnie. Przywódcy sowieccy doszli do wniosku, że rzeczą łatwiejszą i bardziej obecnie "na czasie" będzie "odciągnięcie" Anglii od Ameryki, zwłaszcza że sprzyjają temu nastroje pewnych wpływowych kół politycznych i gospodarczych Wielkiej Brytanii. Koła te obawiają się, że w ewentualnym przyszłym starciu między dwoma olbrzymami: amerykańskim i sowieckim Anglia, stojąca u boku Ameryki, oberwałaby najgorszego guza. Na lewicy Partii Pracy i wśród lewicowej inteligencji brytyjskiej panuje nadto doktrynalna niechęć do zbyt silnego wiązania się ze Stanami Zjednoczonymi w ich obecnej "ultrakapitalistycznej" formie. Tendencje do powściągliwości w wiązaniu się z Ameryką ujawniają się jednak nie tylko wśród lewicy. Wykraczają one znacznie poza granice Labour Party i występują w pewnych kołach gospodarczych, zwłaszcza tych, które z niepokojem obserwują wzrost amerykańskiej ekspansji gospodarczej kosztem, w znacznej mierze, Anglii.

Na tych wszystkich elementach opiera swą obecną taktykę Moskwa, usiłując wzmocnić ich pozycję i zgrać niewygodnego sobie Bevina przez ciągłe próby demonstrowania, że nie jest on zdolny do ułożenia stosunków ze Związkiem Sowieckim. Tak tylko rozumieć można wystąpienie moskiewskiej *Prawdy* (z dnia 15 stycznia r.b.), zarzucającej Bevinowi, że w przemówieniu swym, wygłoszonym trzy tygodnie przedtem, wyrzekł się jakoby sojuszu brytyjsko-sowieckiego przez podkreślenie, iż Wielka Brytania nie jest z nikim związana. Rząd brytyjski pośpieszył z notą twierdzenie to dementującą, *Prawda* jednak podtrzymała je w nowym artykule — następnego zaś dnia przyszła nowa niespodzianka polityczna w postaci oświadczenia Stalina, iż uważa sprawę za załatwioną i że pragnie przedłużenia traktatu anglo-sowieckiego pod warunkiem jednak wprowadzenia doń zmian, sojusz ten wzmacniających.

Sprzeczność między tymi dwoma wystąpieniami była tylko pozorna — w rzeczywistości jedno popierało i uzupełniało drugie. Chodziło po prostu o danie do poznania, że Anglia może mieć dobre stosunki z Rosją, jeśli odpowiednio zrewiduje swą postawę. Celem zaś bezpośrednim było sparaliżowanie swobody ruchów Bevina przez wzmocnienie opozycji przeciw jego polityce. Pewną rolę mogło też odegrać dążenie do zapobieżenia jakimkolwiek mocniejszym wystąpieniom rządu brytyjskiego w sprawie polskiej w związku z osławionymi "wyborami" z dnia 19 stycznia r.b. Jest to taktyka podobna do stosowanej we Francji, gdzie komuniści nie dopuszczają do jakiejkolwiek samodzielnej, zakrojonej na większą skalę, polityki zagranicznej swego kraju.

"PANEUROPA" I NIEMCY

Wątpić jednak należy, by w stosunku do Anglii, mimo działania wszystkich wyżej scharakteryzowanych prądów i tendencji, taka taktyka mogła odnieść sukces stuprocentowy. Nawet zwolennicy "balansowania" między Stanami Zjednoczonymi a Rosją zdają sobie sprawę, że taka koncepcja tylko wtedy może dać korzyści, jeżeli pozwoli Anglii na zbudowanie sobie własnej silnej pozycji, z którą inni musieliby się liczyć. Tu leży jedno z głównych źródeł "paneuropejskiej" akcji Churchilla i popierających go polityków brytyjskich.

Koncepcja ta, wyznaczająca tak wielką rolę Niemcom, wydaje nam się w swej obecnej postaci wadliwa z przyczyn, które wyłuszczamy w artykule wstępnym niniejszego zeszytu *Myśli Polskiej*. Wzbudziła ona jednak niewątpliwie niepokój w Moskwie, tym bardziej że doczekała się świeżo poparcia przez kierownicze czynniki amerykańskiej Partii Republikańskiej (Dulles, Vandenberg, Dewey), poza tym zaś nie od dzisiaj widoczne jest coraz wyraźniejsze stawianie przez różne czynniki anglosaskie na kartę niemiecką, co ujawnia się zwłaszcza w planach natury gospodarczej.

Ze swej strony polityka sowiecka stara się parować te posunięcia, w taki jednak sposób, by nie prowadzić do większego zaostrzenia stosunków z Anglosasami. Tak więc Rosja pójdzie prawdopodobnie na jakieś tymczasowe porozumienia w sprawie Niemiec na konferencji, zbierającej się w Moskwie w marcu r.b. — co będzie ułatwione przez fakt, że zarówno Sowiety jak W. Brytania i Ameryka zgodne są co do zasady utrzymania jedności państwa niemieckiego. Moskwa idzie na to prawdopodobnie dlatego, że sądzi, iż w razie powstania centralnego rządu niemieckiego czynniki przez nią popierane będą miały większe szanse penetrowania także w zachodnich prowincjach Rzeszy — i że wówczas otworzą się dla polityki sowieckiej większe niż dotychczas możliwości gry politycznej w stosunku do Niemców. W. Brytania i Stany Zjednoczone stoją formalnie na stanowisku nadania Niemcom struktury federalnej, ale z zachowaniem jednolitego systemu gospodarczego w całym państwie. Jedna tylko Francja wystąpiła z planem luźnej federacji krajów niemieckich — planem, który najbardziej także odpowiadałby interesom Polski. Zależność obecnego reżimu warszawskiego od Moskwy jest jednak tak wielka, że przedstawiciele jego bez żadnych zastrzeżeń wypowiedzieli się za tezą daleko idącej centralizacji Niemiec.

NOWA "ENTENTE CORDIALE"

Chcąc uspokoić obawy francuskie Londyn wystąpił z inicjatywą odnowienia dawnej *entente cordiale* anglo-francuskiej, tym razem obejmującej także daleko idące współdziałanie gospodarcze. Inicjatywa ta przyjęta została w Paryżu z uznaniem, praktyczne jednak jej zastosowanie napotyka na poważne trudności. Jak stwierdza londyński *Economist* z dnia 25 stycznia r.b. komisja anglo-francuska, powołana do życia dla opracowania zasad współpracy w sferze ekonomicznej, odbywszy parę posiedzeń doszła do wniosku, że bardzo ciężko jest ustalić jakieś konkretne punkty, co do których obie strony byłyby zgodne. Tak np. zdaniem kół brytyjskich byłoby gospodarczo wskazane podzielić między oba państwa produkcję w dziedzinie rolniczej w taki sposób, by produkcja pszenicy skoncentrowana była we Francji, a wytwórczość maszyn rolniczych w W. Brytanii. Wojskowe czynniki francuskie stoją jednak na stanowisku, że ze względów bezpieczeństwa utrzymana być musi na terenie Francji baza dla produkcji czołgów. A takich punktów jest wiele.

CHARAKTERYSTYCZNA ZMIANA

Otrzymaliśmy niedawno list, w którym redakcja miesięcznika *Free Europe* zawiadamia o zmianie tytułu swej publikacji. Nowy tytuł miesięcznika brzmi: *Soundings*. Charakterystyczne jest uzasadnienie zmiany tytułu. Podajemy je w polskim tłumaczeniu: "Uważamy, że *Wolna Europa* nie jest dłużej odpowiednim tytułem dla przeglądu, gdy tak wielka część Europy znajduje się pod kontrolą komunistów lub krypto-komunistów."

Ogólnie stwierdzić można, że cechą charakterystyczną położenia politycznego i gospodarczego świata, a zwłaszcza Europy jest nadal ogromna płynność i brak elementów stałych i konstruktywnych. Nie może być zresztą inaczej w sytuacji, do której zwycięzcy dopuścili po zakończeniu wojny i którą w zasadniczych zrębach nadal akceptują i podtrzymują.

KONGRES ALE JAKI?

Na koniec lutego zapowiedziany został kongres Polaków w Wielkiej Brytanii, mający za zadanie organizację uchodźstwa dla reprezentowania jego celów społecznych i zawodowych oraz dla zapewnienia masie polskiej odpowiedniej pomocy w stabilizacji powojennego życia na przymusowym wygnaniu.

Cel tak pojęty jest godny poparcia. Powszechnie znane są warunki, w jakich emigracyjna część społeczeństwa polskiego walczy o elementarne prawo do życia. Nie będziemy tu mnożyli znanych faktów niewłaściwego podejścia pewnych kół do wielu zagadnień, związanych z prostą egzystencją Polaka, z możliwością życia i kontynuowania wysiłków dla dalszej walki o Polskę pojętą po polsku. Wiele z tych błędów w stosunku do nas ma swoje uzasadnienie w "pierworodnym grzechu" odstępstwa od ideowych założeń wojny. Inne spowodowane są trudnościami, jakie przynosi paradoksalny pokój. Konieczność sprężystej organizacji, która by reprezentowała interesy powszechne każdego Polaka w jego ciężarach dnia powszedniego — jest kwestią poza dyskusją.

Mamy, niestety, niezbyt pocieszające objawy i przykłady realizacji tego koniecznego postulatu. Tak się składa, że teren społecznej organizacji uchodźstwa staje się bieżnią, na której znane, choć wcale nie najlepsze zespoły starają się wygrać owe "społeczne zawody" dla celów zgoła innych niż wynika z założenia. Dawaliśmy wyraz naszym zasadniczym zastrzeżeniom przeciwko tego rodzaju manewrom, towarzyszącym zjazdowi w Brukseli, i zbyt przejrzystej grze, która tam była prowadzona. Są także powody, dla których zapowiedziany kongres w Wielkiej Brytanii może stać się placem manewrowym dla grup, które prosta logika historii z manewrów wycofała. Nie żywimy przesadnej obawy przed sukcesami bardziej lub mniej zakamuflowanych grup, posiadających nadal ambicje polityczne. Niech tylko wyżywają się na innym terenie, nie zaś na tak ważnym odcinku, jak życiowe interesy społeczeństwa emigracyjnego.

Kongres lutowy, taki jak go przygotowują jego organizatorzy, byłby organizacją obciążoną dziedzicznie i rodzącą się z dziedzicznym kalectwem. Wątpliwe wydaje się czy związki objęte przez organizatorów istotnie reprezentują społeczeństwo emigracyjne, czy też tylko zarządy.

Powszechnie znany jest także zwyczaj wielokrotnej obecności jednego człowieka w przeróżnych organizacjach. Tak więc możemy się spotkać ze szkodliwą fikcją reprezentantów, którzy reprezentować będą samych siebie, poumieszczanych w kilku naraz zrzeszeniach.

Metoda faktów dokonanych w dziedzinie społecznej nie jest w żadnym stopniu właściwa i celowa. Takim faktem dokonanym jest narzucenie statutu przez organizatorów kongresu. Statut, co prawda, plenum będzie mogło zmienić, ale tak kwalifikowaną większością, że to zmianę praktycznie uniemożliwi. Pozostawienie poza marginesem kongresu niewygodnych organizacji zawodowych, społecznych i regionalnych nada także całej imprezie posmaku partykularnego.

Metoda doboru posłusznego bloku nie należy ani do polskich tradycji działania publicznego, ani nie daje dobrych wyników.

Miejmy nadzieję, że głębokie zastanowienie się nad położeniem emigracji polskiej i nad jej zadaniami istotnymi, dla których istnieje, pozwoli uniknąć błędów rysujących się dzisiaj. Błędy bowiem mszczą się wszędzie, a zwłaszcza tam, gdzie chodzi o rzetelne dobro społeczeństwa. Dobro to jest zbyt konkretne, zbyt dokładnie zdefiniowane przez samo życie, żeby jakiekolwiek kombinacje czy gry mogły je zaspokoić. Uzyskanie przeważających wpływów w organizacji społecznej może dać satysfakcję grupkom, które o te wpływy zabiegają, nie da natomiast żadnej satysfakcji ani jednostce, ani masie, jeśli cel zasadniczy: ich życiowe potrzeby, pozostanie tylko — elementem dekoracyjnym.

KULTURA I ŻYCIE

Prymityw wyrafinowany — T. S. Eliot na scenie — Interpretacja "Lorda Jima" — Nareszcie sukces — Z muzyki

STRASZĄ nas coraz częściej, że w zmechanizowanej cywilizacji zamienimy się w prymitywy bez kontroli intelektualnej, w twory psychiczne, wydane na pastwę lęków i zachwytów. Wyraz "prymityw" często zjawia się w publicystyce naszych czasów i w miarę użycia przywdziewa coraz to inne znaczenia. Warto by prymitywowi przywrócić wreszcie jakieś dodatnie znaczenie, jeśli nie boimy się terroru snobów.

Okazja nadarzyła się w styczniu w *Berkeley Galleries* (20 Davies Street, W.1), gdzie otwarto małą, ale dobrze urządzoną wystawę prymitywnej sztuki (*3rd Exhibition of Primitive Art*), to znaczy w tym wypadku sztuki, tworzonej przez dzikich mieszkańców Afryki i Polinezji.

Jedno uderza wśród eksponatów: duża kontrola artystyczna w potraktowaniu typowych dla tej sztuki motywów. Zarówno w geometrycznych motywach, jak i religijnych maskach czy rzeźbach ludzkich czuje się istnienie długowiekowej tradycji poza każdą koncepcją, poza każdym rytualnym widzeniem rzeczywistości, — czy można więc nazywać prymitywem tego rodzaju wyrafinowaną twórczość umysłów, do których tajni nie mamy dostępu; czy można nazywać tak swoiście subtelną interpretację świata mistycznego — sztuką dziką?

Proszę przyjrzeć się uważnie kształtom bożka — opiekuna dzieci, lub masce sekretnego związku Bundu, lub niesamowitemu krzesłu, spoczywającemu na głowach ludzkich (z Kamerunu), lub wreszcie groteskowemu powikłaniu kształtów ludzkich w rzeźbie z Nowej Irlandii,— we wszystkich tych okazach t.zw. "prymitywnej" wyobraźni żyje duch ludzki, skłócony ze światem zjaw i majaczeń, ale jednocześnie walczący o wyzwolenie się zupełne z obsesji kształtów fizycznych — w jakąś nową rzeczywistość. Kto uważnie zanalizuje ten wyrafinowany świat sztuki plemion dzikich, nie ustrzeże się przed analogią, nasuwającą w pobliże oczu obrazy francuskich surrealistów, geometryczne zmaganie się Picassa ze światem "uznanych" kształtów, oraz mistycyzm Kolumba naszych dalekich a nieodkrytych snów, Paula Klee.

★

Inne wyrafinowanie, innego gatunku i innej treści, odczuwa widz, patrzący na sztukę poetycką T. S. Eliota, *The Family Reunion*, wystawioną w *Mercury Theatre*. Z kanwy greckiego mitu wyplątał poeta sprawę dzisiejszą i tak współczesną, jak współczesne są wszystkie nasze zapasy ze światem nieznanym. Oczy, ścigające Harry'ego, lorda Monchensey, aż do ponurego domu w Wishwood na północy Anglii, gdzie odbywa się osobliwe misterium — zjazd rodziny, nie są oczami duchów, łatwych do odgadnięcia: to nie Furie mściwe, ale anioły, ukazujące się ludziom poprzez miłość i trwogę. Jest w ich niepojętym przewodnictwie coś z opisywanych przez Rilkego aniołów: groza pomieszana z urokiem.

Technika poetycka Eliota jest wyrafinowana już w tym nieoczekiwanym skłóceniu tła rzekomo współczesnego z mitem antycznym; ale i dobór charakterów daleko odbiega od scenicznych konwencji; ich realizm jest tylko realizmem chwilowym: widz musi być przygotowany na niespodziankę, kiedy ględzące siostry lady Monchensey przechodzą z nagła z prozaizmu rodzinnej rozmowy w chóralne zawodzenie nad tajemnicą istnienia. Ta podwójność, dwutorowość prezentacji dramatycznej daje sztuce atmosferę napięcia o wiele bardziej przekonywającą od konfliktów wyłącznie zależnych od fabuły. Zakończenie sztuki (śmierć matki, lady Monchensey, w chwili gdy wnoszą tort imieninowy z zapalonymi świeczkami) podkreśla raz jeszcze podwójność znaczeń w utworze Eliota: znów fakt realny odrealnia się w gromnicznej wymowie świateł. Albowiem świat *tamten* stale decyduje o symbolach świata doczesnego. Oczy nahalnej tajemnicy towarzyszą nam w ziemskiej wędrówce, tak jak towarzyszyły Harry'emu. Wiew skrzydeł anielskich uderza nas intymnie w każdym spotkaniu z wiatrem poetyckim.

★

W recenzji, omawiającej trzy tomy pełnego wydania dzieł Conrada, w ostatnim numerze "M.P.", słusznie zwrócono uwagę na angielską interpretację charakterów condradowskich. Recenzent wspomniał także o zaniedbaniach wydawców polskich na Emigracji w stosunku do autora *Zwycięstwa*. Niewątpliwie ucieszą się ci wszyscy, którzy podzielają pogląd recenzenta *Myśli Polskiej*, że ruchliwa *Szkolna Biblioteczka na Wschodzie* (pod redakcją dr. Kurdybachy) wydała jako tom 94-95 przedruk *Lorda Jima* Conrada w pięknym przekładzie Anieli Zagórskiej (Jerozolima, 1946, Interim Treasury Committee for Polish Questions — Educational Branch, stron L - 191 - 142). Książkę zaopatrzył wnikliwym wstępem Wit Tarnawski.

Polecamy wstęp Tarnawskiego tym czytelnikom szczególnie, którzy nie umieli jeszcze znaleźć własnej drogi do Conrada. Tarnawski łączy zdolność popularyzacji z dużą umiejętnością krytyczną, a opiera swoje interpretacje na sumiennie zebranych faktach. Ten brak gołosłowności w wywodach ujmie na pewno rzetelnych czytelników.

Powołując się na list otwarty Orzeszkowej, zarzucający Conradowi zdradę przez odejście z szeregów pisarzy polskich, Tarnawski interpretuje wątki *Lorda Jima* jako rozprawę autora z sobą samym i z polskością. Jest w tej rozprawie dużo tragizmu, ale i dużo także prawdziwie męskiej odwagi nieunikania konfliktu. Tarnawski stawia może zbyt często kropkę nad "i"; literatura przecież zawsze sugeruje więcej niż nazywa po imieniu. Tym niemniej tok wywodu autora przedmowy jest logiczny:

"Uderza w *Lordzie Jimie* nacisk położony na motyw ludzkiego zaufania. Wysunięcie tego motywu na czoło spraw utworu, podkreślenie go mottem z Novalisa na tytułowej

karcie powieści — czyż nie jest to jakby ostatnie słowo oskarżonego Conrada, dające ludziom w kraju do zrozumienia, dlaczego pisarz nie wróci, ale może także — pod jakimi warunkami by wrócił? Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Conrad mówiąc tyle o władze zaufania miał na celu, poza prawdą psychologiczną, postawienie swej dalekiej ojczyźnie czegoś w rodzaju uczuciowego ultimatum: że bez ludzkiego zaufania i zrozumienia żyć trudno, skoro zaś po nieszczęsnym błędzie młodości ojczyzna mu już tego zaufania udzielić nie może — dozwolone jest, słuszne i po prostu ludzkie, ażeby pisarz szukał zaufania duchowego tam, gdzie je może znaleźć — a zatem w społeczeństwie angielskim."

Mogą nas drażnić a nieraz i gniewać zbyt daleko idące interpretacje pisarstwa Conrada-Korzeniowskiego, szczególnie jeśli dotykają one tej niezwykle czułej struny: stosunku pisarza do własnego narodu. I pozostaje jeszcze jedno uparte pytanie: kto widzi więcej egzotyzmu i dziwności w Conradzie — Anglicy czy Polacy? Anglicy próbowali ze swej strony na to pytanie odpowiedzieć. My często nie wiemy jak w ogóle patrzeć na autora *Lorda Jima*. Tarnawski — chociaż może zbyt natarczywie — ale próbuje jednak w swej przedmowie trafić do sedna.

★

Zazdrość i medycyna Michała Choromańskiego, rozsławiona pierwszą Nagrodą Młodych Akademii Literatury, ukazała się w przekładzie angielskim (*Jealousy and Medicine*, Willow Press). Sądząc z recenzji, zamieszczonych w tygodnikach, oraz z pochwalnego tonu krytyka radia brytyjskiego, książka Polaka jest prawdziwym i niezałganym sukcesem.

Nareszcie trafiła na rynek międzynarodowy książka do gruntu samorodna, i choć można dyskutować jej symptomatyczność na tle przemian literackich ostatniej epoki, jedno pozostaje niezmienne, że Choromański, *homo unius libri*, miał szczęście napisania powieści o klimacie tak intensywnym, tak znakomicie skonstruowanej (rzadkość w naszej beletrystyce!), że żadna transpozycja językowa wartości tych nie zdoła naruszyć.

Sukces *Zazdrości i medycyny* za granicą jest sukcesem zasłużonym. Zdecydował o nim dobry warsztat pisarski, a nie sensacja czy płatna propaganda.

★

Cieszą nas także sukcesy młodego pianisty polskiego, Małcużyńskiego. Miłośnikom muzyki polecamy płyty, nagrane ostatnio przez niego, np. *Columbia* L.X. 975 (Chopina *Nocturne in F Sharp Major*, Op. 15, No. 2, oraz *Waltz in C Sharp Minor*, Pp. 64, No. 2). Krytyk muzyczny radia brytyjskiego podkreślił indywidualną interpretację tych utworów Chopina przez polskiego pianistę.

★

Następujące polskie wydawnictwa katolickie (nakładem firmy *F. Mildner and Sons*) zasługują na przypomnienie czytelnikom: *Nowy Testament* z komentarzem (najniższa cena 5 s.); część druga i trzecia *Starego Testamentu* (dalsze trzy w przygotowaniu), cena każdej 8 s.; poza tym: kilka encyklik Leona XIII, Piusa XI i Piusa XII oraz dwa katechizmy (Kard. Gasparriego i ks. A. Syskiego krótki katechizm dla dzieci, ten ostatni w cenie 6d., z ilustracjami).

Z przekładów wartościowe pozycje zajmują Cary-Elwes'a *Jak stać się dobrym*; M. O'Leary'ego *Kościół katolicki a wychowanie*; Denis Gwyna *Watykan, a wojna w Europie* (ten ostatni szczególnie godny polecenia, cena 6 s.).

Londyn, 20 stycznia 1947 r. J.P.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

André Francois Poncet: SOUVENIRS D'UNE AMBASSADE A BERLIN. *Paris*, 1946. *Flammarion*. Stron 356. Cena 150 fr. fr.

Pamiętniki lorda Templewooda o jego ambasadzie w Hiszpanii, które omówiliśmy w zeszycie grudniowym, opowiadają o osobistej walce człowieka z ludźmi, których chciał pozyskać dla swojej sprawy, albo którzy tej sprawie byli wręcz wrodzy. Treść książki charakteryzuje nuta osobista i cel jasno wytknięty.

Pierwsze rozdziały wspomnień Francois Poncet nacechowane są bezstronną pogodą historyka. Co w nich przede wszystkim uderza czytelnika, to odległość wypadków tak jeszcze bliskich, a następnie przedstawienie tematu i jego kompozycja. Przypominają się dzieje innej rewolucji, opisane w sławnym dziele Louis Modelin.

Stopniowe opanowywanie Niemiec przez Hitlera daje się podzielić na dwa okresy; walki wewnętrznej i walki z zagranicą. Protegowany przez prawicowe koła Hugenberga i wojskowych z Reichswery Hitler, ludowy demagog, był początkowo uważany przez nich za narzędzie. Wyobrażali sobie, że opierając się na nim i na masach uzyskają cel, do którego dążyli: dozbrojenie i wzmocnienie Niemiec. Tymczasem, razem ze starym prezydentem Hindenburgiem, stali się kruchym i prędko odrzuconym narzędziem potężnego ruchu, wyzyskanym przez groźnego wodza nowej rewolucji. Hitler zadał ostateczny cios zarówno dawnej kaście wojskowej, jak i junkrom, a łamiąc ich zniszczył ostatnie wiązadła państwowości, zatem i tradycji niemieckich, a tym samym pewnego umiaru i doświadczenia. Z chwilą, gdy Fritsch i Blomberg zostali usunięci, aparat wojskowy uległ odnowieniu i udoskonaleniu ale pozbawiony był wodzów, Keitel bowiem był człowiekiem nowym i kompletnie Hitlerowi podległym.

Straszny rok 1934 stanowił jak gdyby przerwę między obu etapami. Umocniwszy władzę na wewnątrz i nabrawszy śmiałości Hitler zaczął prowadzić podobną grę rozkładającą na zewnątrz, przeciwko porządkowi stworzonemu przez Traktat Wersalski. Z trzaskiem opuścił Ligę Narodów, złamał pakt w Locarno, wygrał plebiscyt w zagłębiu Saary i wprowadził wojska swoje do Nadrenii. Pierwszy etap przekroczył prędko i z niezwykłym powodzeniem. W drugim natrafił na przeciwników nieśmiałych, zgoła niezdolnych parować jego uderzeń—niezdolnych nawet do równoczesnego przesyłania mu uzgodnionych między sobą not.

W książce Francois Poncet pierwszy etap jest opisany o wiele jędrniej i śmielej. Opisy drugiego są bardziej miękkie i luźne. Ciężar dwustronnej odpowiedzialności zanadto obarcza Francję i Anglię i dlatego ambasador francuski jest skrępowany w wydawaniu sądów. O sobie pisze, że rola jego w Berlinie ograniczona była do wręczania not i posyłania informacyj. Nikt nie pytał się go o zdanie. Raz tylko w ciągu siedmioletniej ambasady wezwany został na wspólną naradę do Paryża z kolegami z Londynu, Polski i Włoch. Z roli swojej wywiązywał się najsumienniej. Codzień o 11 rano telefonowano z jego biur do Paryża pełne sprawozdanie z całej prasy niemieckiej. W ciągu tego samego dnia wysyłał szereg depesz cyfrowanych; dołączał do nich raz, a może dwa razy na tydzień obfite i, jak sam sądzi, przydługie memoriały, które musiały być pisane z równym talentem, jak jego książka. Stan wewnętrznej polityki francuskiej, a przede wszystkim zależność od Londynu, sprawiały, że ten nadmiar wiadomości wpadał jak gdyby w pustkę. Metody parlamentarne i dyplomatyczne krajów zachodnich stały w jaskrawym kontraście do potężnych i brutalnych poczynań Niemiec nazistowskich.

Obserwator inteligentny i cywilizowany, jakim był Francois Poncet, brał udział w paradach, przedstawieniach i ucztach Trzeciego Reichu. Bronił się tylko długo przed przyjęciem zaproszenia na święto partyjne w Norymberdze, ale w końcu za przykładem innych dyplomatów uległ i tej konieczności. Po Monachium został przeniesiony do Rzymu, dlatego, że się łudził, iż wpływ Mussoliniego działa jeszcze hamująco na Hitlera. Opis stosunku obu dyktatorów nie brzmi całkiem przekonywająco.

Książka Francois Poncet stanie się z pewnością jednym z klasycznych podręczników na temat polityki Hitlera od roku 1931 do Monachium. Pociągać będzie swoją bezstronnością i umiarem. Piękne jej literackie pozory mogą być jednak zwodnicze. Braknie tej książce głębszego zrozumienia objawów, na które patrzał ambasador, analizy w rodzaju tej, jakiej Taine poddał Rewolucję Francuską — może dlatego, że będąc spadkobiercą tej rewolucji Francois Poncet widział w Niemczech tylko niemieckie cechy szału ludowego, oraz szaleństwo Niemców, obdarzonych przez masy nieograniczoną władzą.

Choć przybrany w bardziej nowoczesne formy, bo używający lepszej techniki, nazizm niemiecki był bliższy francuskiemu jakobinizmowi, niż by się to na pozór wydawało. Odnaleźć w nim można wiele rzeczy identycznych: dochodzenie z dnia na dzień do władzy i zaszczytów ludzi, o których nikt przed tym nie słyszał, ten sam egalitaryzm, tych samych "wrogów ludu", czy zdrajców, ten sam popęd do frazeologii i mitów, tę samą "państwową" religię i nienawiść do swobód i nauk Kościoła. Wówczas prześladowano margrabiny i prałatów, teraz literatów i bankierów, ale drugie szaleństwo zniweczyło bodaj więcej jeszcze rzeczy ze starego porządku od pierwszego i rozwaliło drzwi na rozcież do dalszych przewrotów. We Francji odzywają się dziś głosy, że wielka rewolucja została odroczona i opóźniona o 150 lat.

J. A. Ż.

PRZEGLĄD POLSKI. Oprawny półrocznik miesięcznika. Numery od lipca do grudnia 1946. *Londyn. Contemporary Life and Culture Ltd.* Cena pojedyńczego numeru 5s. Stron w numerze 80.

W grudniu ubiegłego roku zamknął swój pierwszy rok wydawniczy miesięcznik *Przegląd Polski*, który pracę publikacyjną rozpoczął latem 1946 r.

Charakter pisma, rzeczowe i rozległe ujęcie problemów czasu przedziwnego pokoju — przyniosły *Przeglądowi* zasłużony sukces. Społeczności walczącej o suwerenną i prawdziwie polską myśl polityczną i utrzymującej w najtrudniejszych czasach ciągłość kulturalną Polski rzeczywistej przybył cenny współtowarzysz.

Na przestrzeni pół roku, czytając uważnie każdy numer pisma, znaleźliśmy bogaty materiał omawiający najważniejsze przejawy życia Polski i świata. Oczywiście nie będziemy w krótkiej notatce podejmowali się wykazać, które z wielu sformułowań odpowiada naszemu stanowisku, a które od niego odbiega. Bezsporną zasługą *Przeglądu* jest zarówno dobór i opracowanie materiału, jak z drugiej strony sformułowanie w sposób poważny koniecznych wniosków. Poważne traktowanie materiału, porzucenie łatwizny sensacyjnej, omówienie całości zagadnień — od rewolucji technicznej w dziedzinie energii atomowej, poprzez złożone zagadnienia ekonomiczne i polityczne — oto

LISTY DO REDAKCJI

(*Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy*).

PRZESILENIE Z R. 1944

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytawszy uwagi *Myśli Polskiej* o mym odczycie na temat kryzysu rządowego w r. 1944 muszę przyznać, że istotnie odczyt "zyskałby na wyrazistości i dokładności, gdyby uwzględnił był stanowisko i akcję Stronnictwa Narodowego".

Nie chciałem nadmiernie zwiększać rozmiarów odczytu, a ponad to wolałem niewiele mówić o stronnictwach, gdyż obraz polskiego życia politycznego na emigracji był wtedy dość smutny. Mam na myśli w pierwszym rzędzie stronników Mikołajczyka, ale nie tylko ich.

Stronnictwo Narodowe prowadziło politykę zdecydowaną i niezłomnie przeciwstawiało się polityce "kapitulacyjnej". Jego postawa wpłynęła niewątpliwie w ogromnym stopniu na spotęgowanie oporu ogromnej większości emigracji przeciwko planom p. Mikołajczyka i jego doradców. W słowie i piśmie, na zgromadzeniach i w prasie, Stronnictwo Narodowe wytrwale głosiło tezę, że nie należy dostosowywać się do wymagań polityki obcej i że nie wolno rezygnować z praw Polski.

Gdyby nie ta konsekwentna propaganda, kto wie, czy t.zw. "kapitulanci" nie odważyliby się pójść znacznie dalej po karkołomnej drodze ustępstw.

Nie zlękło się Stronnictwo Narodowe ani oskarżeń o "faszyzm" czy "reakcyjność" ani szykan i przykrości, na jakie narażeni bywali jego członkowie.

Z tym wszystkim jednak przyszły historyk zada sobie zapewne pytanie, czy trochę inna taktyka nie dałaby Stronnictwu Narodowemu lepszych wyników, i we wcześniejszym terminie. A co do upadku gabinetu Mikołajczyka, to nadal sądzę, że *bezpośrednim* powodem kryzysu były wydarzenia w obrębie obozu, na którym p. Mikołajczyk chciał się opierać. Dlatego też mówiłem, zresztą bardzo pobieżnie, o tych wydarzeniach w moim odczycie. Str. Narodowe było w opozycji już na długo przed listopadem 1944 r. i jednak p. Mikołajczyk trwał na swym urzędzie. Rzecz inna, że te przejawy oporu, z jakimi się nareszcie spotkał w Radzie Narodowej i Radzie Ministrów, może by nie skłoniły go do dymisji, gdyby nie mocne stanowisko emigracji, na które tak silnie wpłynęła akcja Stronnictwa Narodowego.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

STANISŁAW SOPICKI

Londyn, dnia 28 stycznia 1947.

Dokończenie ze strony 15

zasłużony tytuł do poczesnego miejsca w pracach wolnej części społeczeństwa polskiego.

Cel pisma jest celem całego, nie dającego się ujarzmić narodu polskiego, a z nim naszej cywilizacji: osiągnięcie pełnej niepodległości i integralności państwa polskiego, oraz wywalczenie jednostce należnych jej praw rozwoju duchowego.

Jest więc omawiane pismo jednym z niezbyt licznych periodyków polskich, opierających się spłyceniu problemów nurtujących nasze czasy i zadań stojących przed wychodźstwem. Praca dostatecznie trudna w okresie wielkiej depresji cywilizacyjnej i moralnej.

Staranna szata graficzna, obfitość stałych działów redakcyjnych, rozmiar i rozplanowanie materiału świadczą o zdolności pokonywania trudności w pracy wydawniczej na obcym terenie.

Konieczność tego rodzaju poważnej prasy jest faktem nie podlegającym dyskusji. *Przegląd Polski* wykazał, że można wkładem pracy stosunkowo szybko osiągnąć dobre rezultaty.

Zamykając okładkę oprawnych sześciu numerów pierwszego półrocza, życzymy *Przeglądowi* dalszej pożytecznej pracy w rozpoczętym drugim roku wydawniczym.

MOCARSTWA A "WYBORY" W POLSCE

Szanowny Panie Redaktorze,

Cała polska prasa na emigracji pełna jest — w związku z ostatnio odbytymi w Polsce "wyborami" — domagania się pod adresem rządów brytyjskiego i amerykańskiego, by cofnęły uznanie rządowi warszawskiemu.

Nie kwestionując słuszności tego postulatu pozwalam sobie zwrócić uwagę na o wiele ważniejszy, a przeoczony skutek prawny sfałszowania w Polsce w dniu 19 stycznia wyborów.

Seria umów — zapoczątkowana w Jałcie — których treścią było "jałtańskie" uregulowanie sprawy polskiej i których jedną z klauzul było zaciągnięte na rzecz Anglii i Ameryki zobowiązanie przeprowadzenia w Polsce (w nowych granicach) wolnych i nieskrępowanych wyborów, w których by wzięły udział wszystkie "demokratyczne" stronnictwa, była serią umów między mocarstwami, t.j. między Ameryką, Wielką Brytanią i Rosją. Rząd warszawski tylko pozornie występował w niektórych z tych umów, jako podmiot; w istocie, rząd ten był był tylko przedmiotem tych umów, a nawet do pewnego stopnia ich dziełem. Umowy te, w swej istotnej treści, polegały na uznaniu przez Anglię i Amerykę zaboru Ziem Wschodnich Polski przez Rosję, w zamian za co Rosja zobowiązała się zapewnić okrojonej reszcie Polski jaką taką wolność, co się miało wyrazić najpierw w utworzeniu mieszanego rządu, z udziałem osób, wskazanych przez Anglię i Amerykę, a następnie w przeprowadzeniu wyborów, z których wyłoniłby się rząd ostateczny.

(Niejako rekompensatą dla narodu polskiego za dysponowanie jego terytoriami i jego polityką wewnętrzną miało być przyłączenie do Polski ziem po Odrę i Nisę...)

Niedopełnienie postanowień tych umów co do wyborów (a w konsekwencji, co do rządu) nie oznacza uchylenia się od wykonania zawartych z Anglią i Ameryką umów przez rząd warszawski. Oznacza ono uchylenie się od wykonania tych umów przez Rosję.

To nie rząd warszawski ułożył się z Anglią i Ameryką, że będzie szanował prawa obywatelskie swych poddanych. (Cóż by to była za sytuacja: ościenne mocarstwa, gwarantujące prawa narodu polskiego i występujące w imieniu i w obronie tego narodu przeciw jego "własnemu" rządowi!) To Rosja ułożyła się z Anglią i Ameryką, że zwróci okrojonej Polsce wolność, to znaczy stworzy na okupowanym przez siebie terytorium tej okrojonej Polski taką sytuację, że będzie tam mógł powstać rząd, będący wyrazem woli ludności. Jeżeli porozumienie to nie zostało wykonane, to nie dlatego że rządzący w Warszawie "polski" rząd okazał się taki niegodziwy, ale dlatego że Sowiety uznały za stosowne zaciągniętego zobowiązania nie wykonać.

To nie rząd warszawski — który wogóle się jako czynnik samodzielny nie liczy — pogwałcił umowy jałtańskie i następne, ale Rosja. A więc wyciągnięte konsekwencje powinny się zwracać przede wszystkim przeciw Rosji.

Logiczną konsekwencją wyborów styczniowych powinno więc być cofnięcie przez Anglię i Amerykę ich "placet" na zabór polskich Ziem Wschodnich.

Łączę wyrazy poważania,

JĘDRZEJ GIERTYCH

Londyn, dnia 31 stycznia 1947 r.

OSTATNIE DZIEŁO DMOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Gwoli ścisłości pragnę sprostować pewien szczegół w liście swoim o "Wysiłku życia Dmowskiego", opublikowanym w ostatnim zeszycie *Myśli Polskiej*. Mianowicie — jak mi zwrócono uwagę — fragmenty ostatniego, niedokończonego dzieła Dmowskiego, poświęconego zagadnieniom naszej cywilizacji, ukazały się nie na łamach *Myśli Narodowej*, ale w miesięczniku *Polityka Narodowa*, który zaczął się ukazywać w Warszawie w roku 1938, a więc niedługo przed wybuchem wojny, pod redakcją Zygmunta Berezowskiego. Natomiast *Myśl Narodowa* ogłosiła poprzednio tekst odczytu, który Dmowski wygłosił na ten sam temat, ale który w tej postaci nie miał wejść w skład książki.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

B. PRZERADZKI

Londyn, dnia 31 stycznia 1947.

Treść *Nr.* 107 (*Rok* VII, *Nr.* 2) "**Myśli Polskiej**":

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:

8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczne (6 numerów) 12s. lub $4.

Prenumerata roczne (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. February, 1947.